

WIES

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 15 czerwca 1947 r.

Nr 24 (103)

Julian Rataj

ANALIZA DOCHODU SPOŁECZNEGO

1. GDZIE TONIE DOCHÓD SPOŁECZNY?

Nasze obecne życie gospodarcze przebiega pod wpływem trzech najbardziej zasadniczych warunków, w stosunku do których wszystkie inne zjawiska pozostają jedynie w charakterze pochodnych, wtórnych zjawisk nacechowanych oddziaływaniem tych pierwszych. Są to: zmiany ustrojowe, terytorjalne oraz zniszczenia materialne spowodowane długoletnią okupacją i wojną, których rozmiar charakteryzuje istotnie na kilka najbliższych lat nasz proces gospodarczy, jako etap odbudowy. Ostrość i ogrom tego ostatniego zjawiska natury materialnej łagodzi dobroczynny wpływ dwóch pierwszych, a więc zarówno nowych demokratycznych podstaw ustroju gospodarczo-społecznego, jak również wzrost naszych zasobów materialnych i potencjału produkcyjnego, jaki wniosły do wiana gospodarki narodowej Ziemi Odzyskane.

Gdybyśmy w tym najtrudniejszym historycznie — bo nieporównalnym z żadnym poprzednim — okresie leczenia ran gospodarczych (nie tylko zresztą gospodarczych, bo ludnościowych, kulturalnych itp.), a właściwie gruntownej odbudowy całego prawie korpusu gospodarczego kraju, nie mieli do swej dyspozycji podstawowych korzyści ogólnych płynących z przebudowy naszego ustroju oraz z przyłączenia nowych ziem, to odczuwalibyśmy daleko ostrzejszy ciężar czasów powojennych. Dla tych, którzy pamiętają długotrwały i uciążliwy okres powrotu naszego kraju do normalnego życia po pierwszej wojnie światowej — jakże niewinnej w porównaniu z ostatnią — jest widoczne bez żadnych cyfr statystycznych, że tempo terazniejszej odbudowy gospodarczej jest znacznie szybsze, a wyniki tego procesu są oczywiście dla każdego nieuprzedzonego. Po dwóch zaledwie latach niepodległego bytu państwowego zbliżamy się do przedwojennego poziomu produkcji, a w niektórych gałęziach (i to podstawowych, jak węgiel, energia elektryczna) przekroczyliśmy już ten poziom. Jest to sukces i dorobek olbrzymi dokonany wysiłkiem i ofiarnością całego świata pracy w Polsce.

Wydawałoby się według wszelkich prawideł prośego, zdrowego jak i uczzonego rozsądku, że tak znaczny wzrost produkcji i masy towarowej idącej na rynek, winien być w swej dobroczynnej pełni odczuwany przez tenże świat pracy, za którego sprawą zaistniał. I oto jesteśmy świadkami faktu, że rozwijająca się produkcja, wzrost wydajności pracy, podniesienie w ślad za tym place — to wszystko nie przyczyniło się w sposób istotny, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, do polepszenia warunków bytu mas pracujących. Zjawisko to spowodował fakt nieuporządkowania jeszcze jednej dziedziny życia gospodarczego, a mianowicie wymiany towarowej. Tu właśnie umieszczył się drażliwy element spekulacji, rasowy czynnik kapitalistyczny, korzystając z ustępstwa ustrojowego, jakie demokratyczna gospodarka planowa uczyniła na rzecz inicjatywy prywatnej. Kapitalizm wgnany bez reszty z podstawowego ośrodka dyspozycji ustrojowej, jakim jest obecny, państwowy sektor, wyżyty z „naturalnych” praw do posiadania środków produkcji i finansów, zesrodkował całą swą zachłanność na ostatniej możliwości, jaka pozostała, choć ograniczona i nie-decydująca usroju, na odcinku drogi, jaką towar przebywa od produkcji do konsumenta.

2. DEZORGANIZACJA WYMIANY — OSTATNIA SZANSA KAPITALIZMU

W ustroju kapitalistycznym, gdzie posiadanie i dyspozycja środków produkcji i finansów znajduje się w rękach kapitalistów i zrzeszeń kapitalistycznych, dziedzina wymiany była tą, w której narodziła się **spółdzielczość** i w której osiągnęła ona swój główny życiowy sukces. Właśnie spółdzielczość wyrosła w ustroju kapitalistycznym, będąc bronią ubogich ludzi pracy i z natury rzeczy pozbawiona znaczniejszych środków, zmuszona była rozpocząć od najbardziej dośędniej dziedziny wymiany w ambicji i nierównej walce o sprawiedliwy udział społeczny. I jak wierzyli niektórzy naiwni ideologowie, kooperatyzm miał wywalczyć upragniony porządek społeczny drogą opanowania handlu i spożycia.

Dopóki spółdzielczość ograniczała się do samej dziedziny wymiany i niektórych ga-

łęzi wytwórczości spożywczej, dlopoty niedosiężny i niedofknięty kapitalizm nie interweniował, ale zawsze wtedy, gdy zamiary organizatorów i kierowników spółdzielczych kierowały się w stronę środków produkcji, wkraczał czuły w tym punkcie świat kapitalistyczny, gdyż to groziło nadwyrężeniem jego istoty. O ile w tamtym świecie spółdzielczość uzdrawiała stosunki panujące w handlu, służąc rzetelnie interesom zrzeszonych spożywców i drobnych wytwórców, hartując czystość swych metod, to dziś u nas po dokonaniu przebudowy społecznej, odcierek wspomniany opanowała w dużej mierze spekulacyjna inicjatywa prywatna, ta jej niezdrowa część, która dąży do wprowadzenia chaosu, korzystając z istniejącego stanu rzeczy, w którym spółdzielczość nie potrafiła jeszcze zaważyć pozytywnie na rynku wymiany towarowej.

Nigdy jeszcze prywatna przedsiębiorczość handlowa (i nie tylko handlowa) nie zażywała u nas takiej prosperity, nie czerpała z obrotu towarowego tak nadmiernych dochodów, jak obecnie. Na tym odcinku obnażył się w całej pełni stary, bo towarzyszący kapitalizmowi od zarania, istotny jego rys, nie-pohamowane dążenie do osiągnięcia jak największych zysków, dążenie wzmagające się w miarę osiągania coraz większych zysków. Wyszli na jaw niedobity „homo economicus”, a właściwie homineulus, tępy i ograniczony, nierozumiejący i nie chcący rozumieć podstawowych wymogów solidarności wysiłku okresu odbudowy, ale sprytny w zakątku swoich interesów. Drożyzna towarowa, spekulacyjna gra na wyższość cen, przetrzucają się z towaru na towar, a więc przez to samo przetrzuca podnoszoną pogłoską o rzekomej inflacji, która obejmuje wszystkie rodzaje towarów, to jest właśnie dziło grup spekulantów, tak licznych w stosunku do całości społeczeństwa, jak nieliczne były przedtem grupy kapitalistów — przedsiębiorców przemysłowych i bankierów. I jak poprzednio kapitalizm rządzący działał dezorganizująco na rynek produkcji, zatrudnienia i plac z dyspozycyjnego ośrodka produkcji, tak dzisiaj zepchnięty do roli podrzędnej przez dezorganizację handlu i cen, podcina opłacalność produkcji rolniczej i pozbawia rzesze robotnicze owoców ich pracy, obniżając wartość realną ich plac. Zmieniły się możliwości generalne, ustrojowe. Metody i cele pozostały te same.

3. USTAWY GOSPODARCZE

Oczywista jest rzeczą, że uprawianie spekulacji nie odnosi się do całego sektora inicjatywy prywatnej, lecz do pewnej jego części. I właśnie przeciwko tej grupie spekulantów zwraca się ostre ustaw przyjętych ostatnio przez Sejm, które zmierzają do u-normowania stosunków w obrocie handlowym. Są to: **Ustawa o zwalczaniu drożyzny i nadmiernych zysków w obrocie handlowym** oraz **Ustawa o prowadzeniu przedsiębiorstw handlowych i wykonywaniu czynności handlowych**. Dotychczasowa walka ze szkodnictwem gospodarczym nie miała do swej dyspozycji należytych środków działania. Obecnie wspomniana ustawa wyposaża instytucję Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami w ostre środki w postaci możliwości wymierzania surowych kar więzienia i wysokich kar pieniężnych oraz konfiskatę mienia. Druga ustawa stanowi czynnik dający podstawę do stworzenia należytej organizacji handlu i chroniący kupiectwo przed nieuczciwą konkurencją.

Ta grupa ustaw ma na celu skuteczną walkę z barbarzyństwem handlowym jak

również dąży do stworzenia lepszych warunków dla solidnego kupiectwa, przez koncesjonowanie przedsiębiorstw handlowych, co pozwoli usunąć dziką konkurencję drożyzny ze strony czynników spekulacyjnych, zagrażających kupcom rzetelnie wykonywującym swoje czynności zawodowe.

Przyczyną drożyzny towarowej nie są u nas ceny producenta, zarówno rolnika jak i zakładu przemysłowego, lecz wysoka marża zarobkowa, pobierana przez pośredników spekulujących do tego stopnia, że często-kroć zysk pośrednika przenosi cenę towaru u producenta o 100% i więcej. W ten sposób dochodzi do absurdalnego stanu, że **koszt pośrednictwa przenosi koszt wyprodukowania towaru**. Rzecz jasna, że ten stan rzeczy powoduje akumulację dochodu społecznego w nadmiernej ilości u tych, którzy go nie wytwarzają, a zmniejsza sumę dochodu przypadającą przeciętnie na chłop, robotnika, pracownika umysłowego. Cena, którą osiąga handel spekulujący przy sprzedaży produktów rolnych w mieście jest wyższa od ceny płaconej rolnikowi znacznie więcej, niż na to pozwalalaby dozwolona marża handlowa. Z drugiej strony towary przemysłowe idące na wieś są również przedmiotem spekulacji. W ten sposób dziedzina obrotu towarowego stała się siłą negatywną, zmieniającą podział dochodu społecznego na niekorzyść warstw ludowych: chłopów oraz licznych rzesz pracujących w zawodach pozarolniczych. I mimo rosnącej produkcji przemysłowej, rolniczej i usług mamy do czynienia ze zjawiskiem, że jednak wielkość produkcji jako zasadniczy czynnik, który decyduje o rozmiarach dochodu społecznego (i w warunkach sprawnie zorganizowanego obrotu decyduje i winien decydować w dużej mierze o podziale tego dochodu, a więc o podziale spożycia czyli o dobrobycie społeczeństwa), tej roli w zupełności nie spełnia, z powodu dezorganizacji wymiany, której funkcją społeczno-gospodarczą winna być realizacja wyników produkcji w drodze do konsumenta, a a w żadnym wypadku decydujący wpływ na dobrobyt mas.

4. BRAK DYSCYPLINY GOSPODARCZEJ

Nie tylko wysokie marże handlowe są przyczyną niezdrowych stosunków w naszym obrocie towarowym. Ważną rolę odgrywa również spekulacja towarowa na termin, która uprawia na szeroka skalę skup i ukrywanie towarów przeznaczonych na rynek. W ten sposób tworzą się w sumie ważne zapasy przetrzymywane na drodze od produkcji do konsumenta, który w ten sposób nie odczuwa dobrodziejstwa każdorazowego wzrostu masy towarowej. Szkodliwość gospodarczą tego zjawiska jest tym większa, że w obecnym okresie niedostatku towarowego każda ilość towaru winna być natychmiast rzucona na rynek, który jest jeszcze daleki od nasycenia. Dezorganizacja pogłębia również zjawisko słabej dyscypliny gospodarczej naszego społeczeństwa, które jest bardzo wrażliwe na wpływ pierwszej lepszej pogłoski szeptanej propagandy rozsiewającej od czasu do czasu nieprawdopodobne bzdury gospodarcze. W takich momentach umiennie wzbudzonego niepokoju nieraz ma miejsce masowe wykupywanie artykułów pierwszej potrzeby przez samych konsumentów, którzy w ten sposób sami sobie oddają niedźwiedzią przyszłość, nabijając kieszenie cychających na to spekulantów.

Do zjawisk łączących się z zagadnieniem dyscypliny gospodarczej, należy fakt omijania normalnego aparatu wymiany wzbudzającego zaufanie, omijanie spółdzielczości, co

ma miejsce zwłaszcza przy zbycie produkcji rolnej na wsi. Sprzedaż komukolwiek bez posługiwania się odpowiednim aparatem obrotu towarowego jest jedną z ważnych przyczyn chaosu istniejącego w naszym handlu. I w tym względzie wspomniane ustawy stanowią trafnie przewidzianą podstawę do unormowania i usprawnienia wymiany wewnętrznej.

Gdy porównamy stopień zorganizowania i uporządkowania zasadniczych dziedzin naszej gospodarki narodowej, to okaże się, że produkcja górnicza i przemysłowa, finanse i komunikacja wyprzedzają daleko dziedzinę obrotu zewnętrznego, którego praktyki mogą być nieraz zaliczone do gatunku dzikich i antyspołecznych, bo nieprzebiegających w środkach metod, ale też na tym właśnie odcinku zarówno spółdzielczość jak tymbar-dziej nacjonalizacja ustępuje swym zasięgiem bardzo wyraźnie inicjatywie prywatnej, której gorsza część — ta spekulująca — przyczynia nam dotąd tyle trudności gospodarczych, a której działalność jest obecnie ukroćkana skutecznie na podstawie wspomnianych już ustaw.

5. KONCENTRACJA ZBYTU ROLNICZEGO

Należy odnowić pole działalności dla spółdzielni zarówno w mieście, jak zwłaszcza na wsi, która spośród wszystkich ośrodków produkcji narodowej stanowi nadal najsłabszą skoncentrowaną i nieujęta w formy organizacyjne dziedziny produkcji. Nie tu jest miejsce na zajmowanie się stroną samej produkcji, lecz należy podkreślić specjalną rolę jaką winna odgrywać **spółdzielczość rolnicza** na odcinku wymiany łączącej wieś z miastem. Ta bowiem droga najeżona jest bardziej niż kiedykolwiek zawodowymi amatorami łatwych i nadmiernych zysków, których ofiarą pada chłop-producent, nie mogący w tym stanie rzeczy zainkasować pełnego rezultatu swej mozolnej pracy. Spółdzielnia jako instytucja stojąca najbliżej mas rolniczych, winna stać się masowym środkiem praktyki gospodarczej rolnictwa. Zławsza spółdzielnia gminne, pracujące bezpośrednio w środowisku czysto wiejskim, są predysponowane do roli czynnika największej aktywizacji warstwy chłopskiej, te spółdzielnie winy być naturalnym terenem chłopskiej działalności gospodarczej, zarówno w zakresie przetwórstwa produktów rolnych jak i odnośnie obrotu płodami rolnymi oraz artykułami przemysłowymi na wsi. Wszelki zbył produktów rolnych winien się odbywać przez chłopskie spółdzielnie rolnicze, które będą w stanie wyrugować dziki handel spekulacyjny. Tu jest wielkie pole działalności dla działaczy radykalnego ruchu ludowego, który ma — jak wiadomo — ogromne zasługi historyczne w krzewieniu ruchu spółdzielczego na wsi jeszcze w dawnym okresie przedwojennym; jest to ogromne zadanie organizacyjno-gospodarcze Związku Samopomocy Chłopskiej, który tak żywiołowo wystartował przed dwoma zaledwie laty z koncepcją uniwersalnej spółdzielni gminnej i ma już za sobą niemały dorobek w postaci uruchomionych 2000 takich spółdzielni.

Dopiero wówczas ustawodawstwo przeciw lichwie oraz jako ochrona rzetelnej organizacji handlu wyda pożądane owoce, skoro w sukurs pośpieszą same zainteresowane środowiska świata pracy: rzesze pracownice miast oraz masy chłopów-producentów rolnych, które przez swoją własną organizację spółdzielczą uzdrowią chaotyczny rynek towarowy.

Państwo ludowe potrafi nie tylko ostro walczyć z negatywnymi gospodarczo zjawiskami, lecz w drodze rozumnej polityki gospodarczej daje możliwość negatywnym i szkodliwym dotąd elementom wykazywania się pozytywnym działaniem, które by pozostawało w harmonii z dziełem odbudowy kraju, jako naczelnym zadaniem narodowym doby dzisiejszej.

Dowodem tej przewidującej i planowodydaktycznej linii postępowania ze strony państwa ludowego jest dalsza **Ustawa o ulgach inwestycyjnych**, która w zakresie gospodarczym nawiazuje do tegorocznej ustawy amnestyjnej w stosunku do podziemia politycznego i stad jest też nazywana **amnestią kapitałową**, obliczoną na ujawnienie zatajonych dotąd kapitałów prywatnych, stanowiących podziemie gospodarcze.

6. RZEKOMO „POKRZYWDZENI”

Znana jest rzeczą, że najbardziej „niewytrzymaliśmy” z punktu widzenia psychologii

**ZJAZD PISARZY
tygodnika „WIEŚ”**

**od dnia 30 czerwca do 6 lipca
w rejonie Gór Świętokrzyskich**

Szczegóły w zaproszeniach i programach

gospodarczej okazał się sektor prywatny, który najłatwiej ulega chwytom spekulacji, dając się ploszyć przy lada okazji wymagającej odrobiny opanowania; tam też ma miejsce pobłażliwość i daleko posunięta tolerancja w odniesieniu do zjawiska uprawiania drożyzny i lichwy. Stąd też wypływa fakt, że właśnie inicjatywa prywatna unika angażowania się w proces odbudowy kraju i inwestycji gospodarczych, a najchętniej lokuje swoje środki w dziedzinie obrotu towarowego, który przynosi najwyższe i najszybsze zyski.

W porównaniu z pionierską rolą odbudowy przemysłu, komunikacji, rolnictwa i spółdzielczości zwłaszcza rolnej, inicjatywa prywatna pozostaje w roli jakby rzekomo „pokrzywdzonej” i ciągłej „zagrożonej” istoty, która jednak w istocie rzeczy ma się o wiele lepiej, niż inni współobywatele. W rezultacie,

zwłaszcza w spekulującej części sektora prywatnego nagromadziła się znaczna część dochodu społecznego, wypracowanego wysiłkiem ludzi pracy, wskutek czego czynnik ten dysponuje wielką siłą nabywczą nieeksplotowaną i nie wciągniętą w konstruktywne procesy odbudowy gospodarki kraju.

„Celem skierowania kapitałów prywatnych do wzięcia udziału w gospodarce odbudowie kraju udziela się ulg inwestycyjnych...”

Oto proste i nieskomplikowane zdanie pierwszego artykułu ustawy, otwierającej szeroką bramę dla ruchu kapitałów prywatnych, zaproszenie do inwestycji i przedsięwzięć produkcyjnych dla całości gospodarki narodowej. Jest nadzieja, że tak realna szansa nie zostanie zmarnowana.

Do omawianej grupy ustawy mającej na celu uporządkowanie niezdrowych stosunków panujących w zakresie sektora prywatnego

należą jeszcze dalsze ustawy, stanowiące jakby logiczne uzupełnienie pierwszych; wprowadzają one społeczną kontrolę przy wymiarze i ściąganiu podatków. Odrośne przepisy nie zawierają żadnych postanowień o zwiększaniu podatków już istniejących. Sens ich polega na uporządkowaniu dziedziny wpływów podatkowych przez zgodne z prawem obciążenie podatkami tych, którzy dotąd uchylali się od płacenia, względnie byli opodatkowani niewspółmiernie nisko w stosunku do swoich możliwości płatniczych.

Jest tu zawarty postulat sprawiedliwości obciążenia podatkowych, gdyż płacący podatki solidnie byli dotychczas w gorszym położeniu w stosunku do uchylających się i ukrywających dochody, którzy za społeczne zachowanie się mieli jakby premię w postaci nieuiszczonych sum podatkowych.

Nie jest to zatem akt wymierzony przeciwko solidnym i rzetelnym jednostkom gospodarczym, lecz przeciw spekulującej i uchylającej się od prawidłowego obciążenia części sektora prywatnego.

Postulat sprawiedliwości łączy się w tym punkcie z wymogami planowej gospodarki, która winna opierać się o sprawnie działający plan finansowy, który może liczyć na trafnie przewidziane realne wpływy.

W opisanych wyżej ustawach należy widzieć przeznaczone ubezpieczenie realizacji Narodowego Planu Odbudowy, który przynosi i przynosić będzie realne zdołanie dla całego społeczeństwa polskiego. Śluszna więc jest rzecz, aby od tej wielkiej pracy nie były zwalniane żadne ośrodki gospodarcze.

W ten sposób wykonywany Narodowy Plan Gospodarczy w procesie realizacji uzyska potwierdzenie swej nazwy.

Julian Rataj

Andrzej Skupień - Florek

BIAŁY DUNAIEC

Od Radakeji
W Nr. 48 i 49 „Wiś” z roku 1946 drukowali szkic historyczny Andrzeja Skupień - Floreka pt. „Biały Dunajec”. Rozpocynamy druk pełnej monografii wsi podhalańskiej na przestrzeni dwóch wieków. Autor pracy jest 4-morgowym gościem parafialnym, a nie piórem w chwilałach wolnych od pracy gospodarskiej. Korzystał z następujących źródeł:

- 1) Dokumenty archiwalne.
- 2) Materiały i zapiski Dr L. Wyrostka.
- 3) „Dzieje i ustrój Podhala Nowotarskiego” — prof. Józefa Rafacza.
- 4) Gminne akta i dokumenty znajdujące się w posiadaniu Wojciecha Stachowca z Białego Dunajca.
- 5) Ustne opowiadania i zapiski własne autora.

CHARAKTERYSTYKA WSI, CIĘŻARY WŁOŚCIAN W LATACH 1579 — 1769

Wies Biał Dunajec, której pierwszym prawnym założycielem był Jędrzej Pawlik (co nastąpiło w 1579 roku), leży w jednej z kotlin doliny nowotarskiej, ciągnącej się na południe ku Tatrom, wzdłuż rzeki o tej samej nazwie, dokładnie: pomiędzy Nowym Targiem, a Zakopanem i obecnie liczy 7 kilometrów długości. Graniczy ona: od południa z młodszą od siebie wsią Poroninem — od północy z o wiele starszą od siebie wsią Szafłarą, z której wyszedł jej założyciel. Jednakże sąsiedztwo Szafłar jest oddzielone sporą przestrzenią ornych gruntów bez zabudowań.

Przestrzenne grunta Białodunajczan ciągną się od domostw wsi, pasami ról do wierzchoł na wschód i na zachód. Na wschodzie graniczą z gruntami wsi częściowo Leśnicy i Glicharowa, a na zachodzie z Zubuchem i Bańską.

W XV wieku były tu jeszcze lasy słaboć rosnące, a ostatnia i najdalej wysunięta ku Tatrom osada ludzka była wsi Szafłara. Dopiero w drugiej połowie XVI wieku, w 1560 roku „ekspansywna” ludność wdziera się w te lasy, karczując je, „wyprawia” sobie uprawne role pod zasiew owsa. Tu, właściwym ówczesnym sposobem i stylem, stawiają sobie mieszkanią i budynki gospodarskie. Owo wdzieranie się ludności do lasu i ich karczowanie odbywało się za ogólnym przyzwoleniem króla ówczesnego panującego w Polsce, nie tylko bowiem nowotarszczyzna, ale całe Podhale wraz z górami Tatrami było prywatną własnością królewską, która dzierżawili od króla dziedzicznie i dożywotnie nowotarscy starostowie. W roku 1564, na mocy uchwały sejmowej (chodziło o uzyskanie środków na utworzenie stałego wojska „kwarcianego”), odbyła się pierwsza lustracja królewsczyzn w Polsce, i ta właśnie lustracja wymienia Biał Dunajec jako wioskę nową, gdzie wówczas zastano tam osiadłych dopiero sześciu kmieci. Od tamtej pory tutaj byli osiadli, i co to byli za jedni ci owi kmiecie, nie wiadomo poza jednym Jędrzejem Pawlikiem, gdyż ludność przybyła nie jako samopas nie rejestrowano; ludność, która tu szła i osadzała się, była darzona „wolnością” i gdzie chciała, osiedlała się, zakładając nie raz pojedynczo, a z czasem parorodzinne osady. Włościanin w czasach Polski przedrozbiorowej nie stanowił takiej wielkiej wartości jak obecnie, żeby go trzeba było od razu od urodzenia rejestrować i każdą zmianę miejsca pobytu do ksiąg wpisywać — w wojsku nie służył, podatków bezpośrednio nie płacił — a czynsze i inne powinności względem starosty, jakia czynione być musiały, obliczano z łanu i ról kmieci. Obowiązek zebrania i dopilnowania wykonania robocznego dworowi ciążył na sołtysie, a ten znał swoich kmieci jako właścicieli ról, i innych poddanych siedzących na rolach kmieci, którzy wedle posiadanej ilości ziemi danej roli zrzucali swoje grosze czynszu, i szli odrabiać „robocizne” dworowi jako swoja powinność. Z czasem dalsze lustracje notowały nazwiska ludzi, ale tylko kmieci, t. j. właścicieli ról kmieci. Szczegółowe zapiski prowadził urzędy parafialne, ale tych było na Podhale bardzo mało. Nie wszyscy też włościanie śpieszyli do tych parafialnych urzędów, ale zdarzały się częste wypadki, że duchowni (a byli to przeważnie Cystersi), idąc za osadnikami hen ku Tatrom, uczyli kulturalnej uprawy roli, i innego jeszcze rzemiosła z gospodarstwem związanego, a przytem pełnił rolę duszy duchowej, względem wiernych. Sa wzmianki w kronikach parafialnych (o czym będzie osobno obszernie mowa), że sporo rodzin tj. ojców, matek i dzieci, tychże przyjmowali sakrament Chrztu św. gromadnie, a ci sami rodzice bezpośrednio po Chrście przyjmowali sakrament małżeństwa.

Z tego możemy wnioskować, jak dokładnymi mogły być ówczesne ewidencje ludności, a

zwłaszcza w Nowotarszczyźnie wysuniętej na południe.

Jako najstarszych i najwcześniejszych osiadłych włościan Białego Dunajca, poza Jędrzejem Pawlikiem, sołtysiem wybranieckim, — o którym już wiedza nie tylko starosta, ale i król, — w kronikach wymieniali już w roku 1614 następujących kmieci: Fortunkę, Jagodę, Ślimaka, Łysopala i Pańszczyka. Zaś w roku 1616 wymieniali się dalsze cztery nazwiska: Bałasa, Guta, Skupnia i Pizdyka. W roku 1617 przybywa: Buzek i Świder. Następnie w 1618 r. Gil i Bochunek, w roku 1619 dochodzą: Bednarz, Dzierzaga, Turlak, Floryn i Janica. Rok 1620: Sikoń i Wrzosek, a dalej, w roku 1621: Skowyr, Strachota, Szostak, Wanieczak, Mikos, Maciata, Jucha i Jachna. W roku 1635 Biał Dunajec liczy 63 rodziny, a w roku 1650 było już tych rodzin 119, czyli w ciągu lat 15 przybyło 56 rodzin. Rok 1700 zastaje w Białym Dunajcu 199 rodzin, co oznacza przyrost 80 rodzin, na przestrzeni lat 50. W okresie następnych lat 69, tj. do roku 1769 a więc do czasu zajęcia nowotarszczyzny przez Węgry, przybyło zaledwie 47 rodzin, tak że w roku 1769 Biał Dunajec liczył 246 rodzin. Były to rody, z małymi wyjątkami, jednorodzinne, każdy o innym nazwisku.

Wielkość dzisiejszego obszaru Białego Dunajca możemy zawiązać właśnie tym pierwszym rodzinom, które tu osiadły do roku 1635, wrębiając się w las i „wyprawiając” sobie role dowolnie wszędzie i wzdłuż, zakreślając niejako granice tej wioski; w okresie następnych lat następowało osadzenie dalszych następnych wiosek w górę ku Tatrom, jak Poronina, od wschodu Glicharowa, od zachodu Zubuchego Bańskiej.

Role, jakie wyrabiali sobie Białodunajczanie, nie łączyły się z sobą, biegała jedna obok drugiej (przynajmniej nie wszystkie), lecz powstawały dżiko rozrzucone tu i tam, przeważnie na zboczach wznięści, ze względu na suchszy teren ziemi, ponieważ dolina, przez którą przepływała rzeka, była mokra, a nawet bagnista. Owe role kmieci były odgradzane pasami rosnącego jeszcze lasu, który znowu ulegał karczowaniu przy następnym wyrobie dalszej roli, przez później przybyłych kmieci, których osadzał sołtys, czyniąc ich prawnymi właścicielami jak i pierwszych. A wszystkie powstałe role zostawały nazwane nazwiskiem swojego właściciela — kmiecia. Pierwotne nazwy niektórych ról przetrwały do dziś, a to dzięki temu, że rody pierwotnych ich właścicieli żyją, a z nimi zachowało się nazwisko pierwszego kmiecia.

Poza „Janem rolem” ziemi, będącej własnością wybranieckiego sołtysa, a zarazem i szlachcica Pawlikowskiego Wojciecha, miał Biał Dunajec ról kmieci — 24, co stwierdza dokument z przeprowadzonej lustracji wsi starostwa nowotarskiego w roku 1767. Była to ostatnia lustracja królewsczyzn w Polsce przez jej rozbiory. Wówczas role te były własnością następujących kmieci: 1. Szymon Gil — 1618 r.; 2. Bartłomiej Sikoń — 1620 r.; 3. Wojciech Buzek — 1617 r.; 4. Jakub Bałasa — 1640 r.; 5. Jan Bałasiak — 1616 r.; 6. Józef Jagoda — 1614 r.; 7. Marcin Fortunka — 1614 r.; 8. Jan Pańszczyk — 1614 r.; 9. Jędrzej Spólnik — 1639 r.; 10. Józef Gut — 1616 r.; 11. Michał Janica — 1619 r.; 12. Wojciech Janica — 1634 r.; 13. Straczek z Pudlakiem — 1648 r.; 14. Sobestian Pańszczyk — 1640; 15. Szymon Gut — 1640 r.; 16. Szymon Dzierzaga — 1619 r.; 17. Łukasz Ślimak — 1614 r.; 18. Marcin Graça — 1631 r.; 19. Jakub Sieczka — 1627; 20. Jan Maciata — 1621 r.; 21. Jan Skupień — 1616 r.; 22. Ostrosz Strachota — 1621 r.; 23. Stanisław Świder — 1617 r.; 24. Świder z Tatkarka — 1638 r. oraz Jan sołtysa wybranieckiego Wojciecha Pawlikowskiego szlachcica — 1579. Liczba za nazwiskami wymienionych właścicieli ról oznaczała rok, od którego prawdopodobnie owe role istnieją; a porządek kolejny, tychże ról podałem w tym układzie, jak one następują kolejno po sobie od strony Szafłar z tym, że Jan sołtys znajduje się pomiędzy 1-szą a 2-gą rolą Szymona Gila a Bartłomieja Sikonia.

Poza tymi kmieciymi rolami niektórzy właściciele mieli jeszcze gdzie indziej swoje własności gruntowe. I tak: kmieć Jan Skupień będąc właścicielem ról oznaczonych liczbą 21, miał pół zarezka Stolewa, wcześniej wypracowanego niżeli sama rola, a mając podrośle dzieci rozsiedli się na dwoje tak że jeden pozostał na zarezku, a drugi poszedł wypracować sobie role w dolinie wsi, gdzie osiedlił się — ten sam Jan Skupień był właścicielem hali Kopienice Małe i polany Oleczyko w Tatrach oraz na samym Podtatrzu jednej drugiej zarezka Kulbasówki, który sobie zaposparzył na uprawa role częściowo, a częściowo mieli na wypas bydła.

Zaś Pańszczykowie, właściciele ról — liczba: 10 i 16, byli właścicielami jednej czwartej zarezka „Palenice” na Podtatrzu w górach, oraz jednej czwartej zarezka „Pańszczykowi” w Tatrach.

Kmiecie: Świder z Tatkarka, właściciele jednej roli — liczba 24 — byli posiadaczami polany „Świderówka”, znajdujące się przy półzarezku Stolewa w granicach wsi swojej. Zaś włościanin Furtak, jako chałupnik, posiadał jedną czwartą zarezka „Furtakówka” pod Tatrami.

Polane Błociska położona pod Tatrami obok Małego Cichego, posiadali Murzańscy sołtysi, krewni Pawlika, sołtysa wybranieckiego Białodunajckiego. Jednej czwartej zarezka Gilówka właścicielami byli: Gil i Bałasa, zaś całego jednego zarezka byli właścicielami: Cipka i Gil.

Dalsze inne przynależności Białodunajckiego sołtysa w górach, jakie otrzymali wybraniecy sołtysi Pawlikowie od królów polskich: Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Jana III Sobieskiego, jak polane Ciche z Tatrów; góry wolne, lasy i hale pod mianem: „Jaworzyna”, „Zgorzeleń” i „Poroniec” wzdłuż potoku zwanego Poroncem (obecnie „Cicha woda”), w skład którego wchodzi dzisiejsza: „Nosał”, „Wysoka”, „pod Kurlak”, „Dudowa Pasieka”, „Zadnia”, „Wierch Poroniec”, „Brzanówka”, „Wiktorówka”, oraz po drugiej stronie potoku na zachód położone hale zwane „Kopami” — sołtys zachował na wyłączną swoją własność użytkową i swojej rodziny. Do tych włościan wymienionych wyżej należała cała wieś w roku 1767 wraz z terenami położonymi w górach. Widzimy, że około 30 rodzin było prawnymi właścicielami jako kmiecie, a w tym i sołtys ze swoim „Janem rolem” ziemi.

A czymże była ta reszta rodzin włościan poza wymienionymi, skoro Biał Dunajec w tym roku liczył rodzin razem z wymienionymi 246? — Otóż włościanie w owym czasie dzielili się na kategorie: zarezbników czyli półrolników, jako druga kategoria po kmieciach trzecia kategoria to zagrodnicy, którzy siedzieli na zagrodach różnej wielkości; nosili też oni miano chałupników z tego powodu, że posiadali chałupy z niewielką ilością gruntu 1/4 — 1/8 zagrody. Czwarta kategoria to komornicy, którzy nie posiadali ani ról, ani zagród z chałupami, tylko zwyczajnie mieszkali w domach rolników — kmieci. Przeważnie byli to starzy kmiecie i ich żony kmiołki, którzy na swoje stare lata oddawali swoje gospodarstwa własnym dzieciom z wyżywieniem dla siebie kąt w chałupie i parę stajen gruntu na swoje wyżywienie.

Tak też było i w Białym Dunajcu zwłaszcza w latach 1660 do 1767, w którym to czasie występowały wszystkie kategorie włościan, a więc: 1. kmiecie, 2. zarezbnicy tzn. półrolnicy; 3. zagrodnicy czyli chałupnicy oraz 4. komornicy.

Jednakże w roku 1767 istniał w Białym Dunajcu tylko jeden zarezek, reszta bowiem zarezków przez dalsze wykarczowanie przylegającego do zarezka lasu, uzyskała wielkość roli i w ten sposób niektóre zarezki stały się rolami. Tak że po za 24-ma kmieciami, resztą rodzin, to chałupnicy i komornicy. Jedyny zarezek, jaki istniał w roku 1767, był własnością dwóch włościan, których lustracja wymienia, — nie wiadomo tylko czy obaj, czy jeden z nich, byli półrolnikami. Ówczesna rola liczyła obszar około 70—100 mórg ziemi, więc sadząc po dzisiejszemu możemy powiedzieć, że ówczesni gospodarze — chłopci, mieli ziemi pod dostatkiem, w stosunku do zaludnienia wsi lustracji 246 rodzin. A jednak życia ich nie było łatwe i mimo dostatku ziemi używanej ciężko było żyć, zważywszy jak duże ciężary spoczywały na nich.

CIĘŻARY Kmieci I INNYCH PODDANYCH.

Za prawo „posiadania” tych ról przez owych kmieci, tak w Białym Dunajcu jak i w całej królewsczyźnie oraz za ich używanie, musieli poddani ponosić najrozmaitsze ciężary i powinności względem dzierżawców Nowotarszczyzny — starosty i jego dworu, tak w mieście Nowym Targu, jak i we wsi Szafłar. Były to różne daniny, czynsze i robocizna, które w pewnych okresach czasu były większe lub mniejsze, zależnie od woli i chęciwości każdego starosty.

A więc robocizna, jaka musiano wykonywać na folwarku Szafłarskim, początkowo wynosiła 12 dni do roku z ról, w tym 6 dni pieszych a 6 dni bydlę. Natomiast starosta Mikolaj Komorowski, który był prawdziwym ciemięzłą dla poddanych, wygórował ciężary robocizny, że wynosiła ona 3 dni tygodniowo z ról, a w jakiś czas wygórował on swoje żądania na 4 dni tygodniowo z ról roboc-

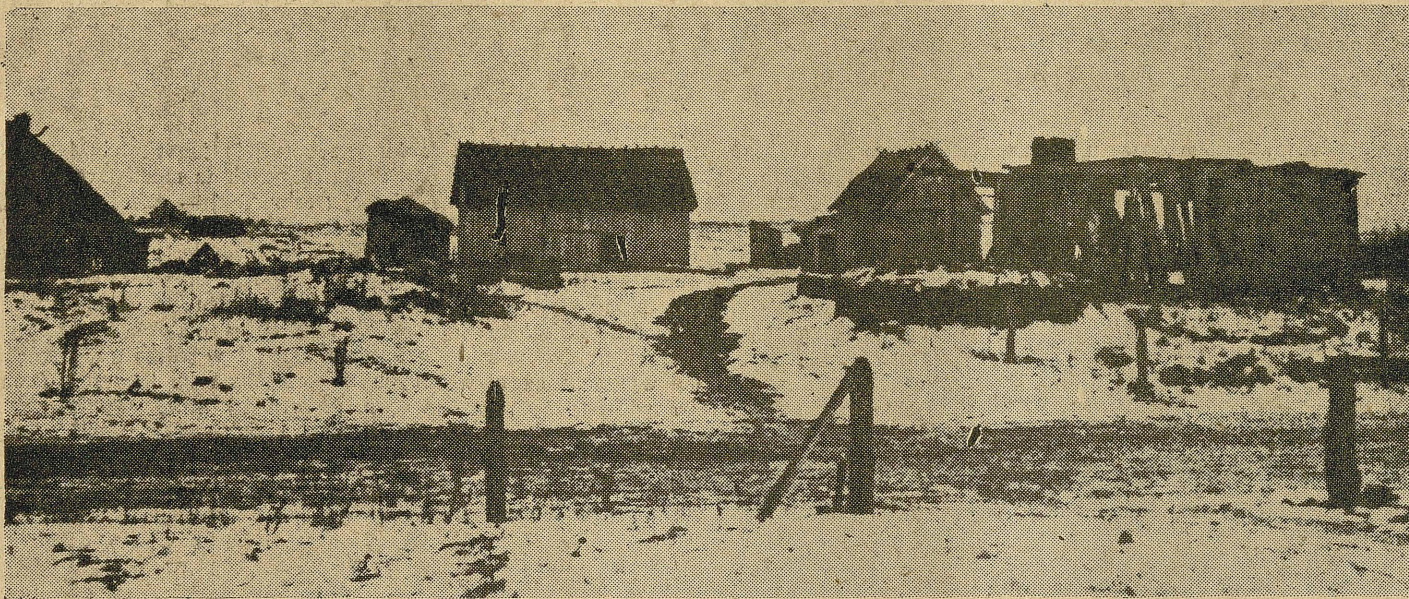
izny, rozłożonej na 3 dni bydlę, a czwarty pieszo, zaś w zimie 3 dni bydlę. Z biegiem czasu zostaje ciężar robocizny pomniejszony do 3 dni tygodniowo z ról — 2 dni bydlę i jeden pieszo, o czym wspominają dokumenty lustracyjne z roku 1660. Zaś lustracja z roku 1767 wykazuje na folwarku w Szafłarach robociznę wykonywaną z roli kmieci 20 dni w roku — 10 dni bydlę i 10 dni pieszo. Następnie ciężary kmieci, to dań dwóch kory owsa z jednej roli kmieci rocznie i dań dwóch kóp gotów, jednej lub dwu (zależnie od wielkości roli) desek oraz po jednym bierwionie; oddawania rocznie 4 łokcie przedzi, a mniejsze role 3 łokcie 18 pasm i 10 nici z roli; następnie jako piaty rodzaj ciężaru, to dańna jednej gęsi i dwu kur rocznie z roli. Bywali nawet tacy starostowie, którzy domagali się większej liczby sztuk ptactwa, co wywoływało wśród poddanych sprzeciw i niepokój. Szóstą to płacenie czynszów z każdej roli rocznie poczynsz od 30 złotych 24 groszy aż do 40 złotych 22 groszy i denarów zależnie od wielkości roli, a Szymon Gil ze swojej roli płać nawet 45 złotych. Dla zorientowania się co do wartości pieniądza ówczesnego złotego przelicznikiem się również ówczesnym cenom owsa i wartości dniówkowej pracy; korzec owsa liczone 3 zł, łokieć przedzi 20 gr., dzień koszenia 15 gr., dzień grabienia 10 gr., jeden dzień orki 2 zł 20 gr., a bronowanie 1 zł 19 gr. Widzimy stąd, że 40 zł czynszu czy nawet 30 nie było wcale lekką powinnością, jakby się nam to wydawało. Oprócz tych ciężarów, już wymienionych powyżej, ciążyły jeszcze na kmieciach obowiązki dowożenia do dworu z lasów tatrzańskich 4 fur drzewa opałowego, 2 tramów, tzn. grubych kłóców budulca do roku z jednej roli kmieci.

Ciężarem, jaki musieli ponosić chałupnicy, była robocizna piesza i wynosiła dwa dni tygodniowo, gęsi i kur oddawali o połowę mniej niż kmiecie, a przedzi dawali 4 łokcie 4 pasm i 15 nici. Komornicy zaś odrabiali robociznę 6 dni w roku i przedzi 1 łokieć przedzi z dworskiego łanu i na dworskiej strawie. A feraz ciężary właścicieli jednego zarezka i polany były następujące: Cipka — Gil ze zarezka odrabiali 6 dni pieszych i czynszu daje 22 zł rocznie, półzarezka „Stolewa” daje Jan Skupień 5 pasm nici i czynszu 30 zł, jedna druga zarezka polany „Kulbasówka” daje Jan Skupień 18 zł, hale „Kopienice Małe”, „Polana Oleczyko” Jan Skupień 34 zł; jedna czwarta zarezka polany „Furtakówka” czynszu daje Furtak 12 złotych, jedna czwarta polany „Gilówka” czynszu daje Gil i Bałasa 22 zł; jedna czwarta polany „Palenica” daje Pańszczykowie 23 zł czynszu; jedna czwarta polany „Pańszczykówka” daje czynszu Mikolaj Pańszczyk 8 zł, z polany „Świderówka” czynszu daje Świder z Tatkarka 10 zł, z polany Błociska Murzańscy sołtysi dają czynszu 52 zł.

Poza tymi ciężarami i powinnościami, ponoszonymi przez poszczególne włościan indywidualnie, istniał ogólny ciężar na całej wsi jako roczny procent ponoszony przez wszystkich zamieszkałych w Białym Dunajcu włościan. I tak, jako robocizna roczna: 72 dni orki, 72 dni bronowania, 75 dni kosić, 75 dni grabić, następnie roczny dowóz 40 szt. tramów 47 kóp gotów, 47 szt. bierwion i dań i 44 szt. limbowych desek oraz 85 łokci przedzi, a nadto 48 kory owsa. Poza tym na całej wsi ciążył obowiązek „podroży” tzn. wyjazdu ze zbożem dworskim w dalsze okolice Rzeczypospolitej oraz przywiezienie kamieni mylnych do młynów skarbowych, których w Białym Dunajcu było dwa (skoro lustracja z roku 1767 wymieniając starostę Mikolaja mówi: „dwa koła wodne i dwa kamienie młeczne, które dzierżawi Stanisław Wyrwa daje czynszu 148 złotych”).

Dalej wieś ma obowiązek dostarczenia do dworu w Nowym Targu trzech pacholców, tzn. sług rocznie, oraz odstąpienie okolicem (kolejną) stróża do folwarku, a przed tym i do zamku w Szafłarach po 8 ludzi dziennie. Obowiązkiem stróża było stawić się jeszcze przed zachodem słońca we dworz, gdzie musieli obsłużyć bydło, a więc nakarmić, napoić i krowy wydoić i oczyścić, a potem nocą stróżować wokół dworu strzegąc od napadu złodziejskiego i rabunku. Rano ta sama praca około dobytku, a potem powrót do domów. Drugiego dnia o tej samej porze przychodzi nowi ludzie, wykonują te same czynności i tak w kółko. Stróżę pełniący musieli być ludźmi doświadczonymi, nieletnich do stróżów wcale nie przyjmowano. Stróża nie była przyjemnym obowiązkiem, gdyż rzadcy dworzy często za błachę niedokładności odliczali po 20 kłof na północną stronę ciała, co powodowało skargi aż u króla.

(D. c. n.)



Przykład samorządnej odbudowy wsi

Edward Ciborowski

Architektura wsi^{*)}

W ostatnich tygodniach r. 1946 ukazała się w druku praca inż. arch. Stefana Tworowskiego „Architektura wsi”.

Sądząc z przedmowy — od autora — datowanej wiosną 1945 — praca ta wówczas została ukończona — a powstała — podczas okupacji niemieckiej.

Powstała więc w warunkach, gdy niesłychanie trudno było i o materiały źródłowe i dokumentacyjne i o atmosferę usposabiającą do spokojnych systematycznych rozważań.

Istotnie praca inż. Tworowskiego jest dokumentem wagi pierwszorzędnej. Dokumentem niepokojów i zrywów tak charakterystycznych dla okresu okupacji i prac konspiracyjnych podczas okupacji niemieckiej prowadzonych.

Dokumentem również świadomej woli, by rzeczywistość pokupacyjną jak najrychlejszym ogarnąć i możliwie przygotować podstawy do realizacji pewnego światopoglądu i pewnego programu w tej nowej rzeczywistości.

Pracę swoją inż. Tworowski zakwalifikował jako „materiały do dyskusji”.

Wachlarz tematyki w pracy inż. Tworowskiego jest rozległy. Porusza on nie tylko zagadnienia budownictwa, architektury, planistyki na wsi, — zagadnienia kształtowania krajobrazu z punktu widzenia artysty plastyka, lecz i zagadnienia fizjografii, demografii, ekonomiki, socjologii, historii stosunków wiejskich, — kształtowania się życia ludności wiejskiej w ogóle.

Podjęmę tutaj próbę sformułowania (wcale nie wyczerpujących) paru zupełnie ogólnych uwag, jakie nasuwają się przy czytaniu pracy inż. Tworowskiego — ekonomiczne zajmujemy się zagadnieniami wiejskimi, szczególnie zagadnieniami agrarnymi.

I. Praca inż. Tworowskiego „Architektura wsi” — „pragnie choć szkicowo wyczerpać temat” (str. 13).

Jaki temat? — panie inżynierze?

Architektura — wsi?

Czy wolno mi jako laikowi w sprawach architektury wogóle — w szczególności wiejskiej postawić parę pytań?

A więc:

Czy istotnie „właściwym dziełem architekta jest dom” (str. 19) — i tylko?

A budynek inwentarski, stodoła, spichlerz, kuźnia, studnia, gnojownia i t. d., i t. d. — nie mogą być dziełem architekta?

Kwestii domu mieszkalnego poświęca autor omawianej pracy bardzo dużo uwagi i dużo stosunkowo miejsca (str. 44 — str. 99 łącznie) — 55 stron. W rozdziale o zagrodzie — również mówi przede wszystkim o domu mieszkalnym.

Conajmniej 1/3 całej książki traktuje o tym zagadnieniu.

O „części gospodarczej zagrody” zaledwie znajdujemy krótką wzmiankę (str. 41 i następną) w „Architekturze wsi” — w rozdziale „zagroda”.

Nie mógłbym się zgodzić z takim postawieniem sprawy.

Wprawdzie dom mieszkalny na wsi — dla rodziny chłopskiej jest zasadniczym zagadnieniem, ale przecież — cały zespół stosunków gospodarczych w gospodarstwie wiejskim — warunkuje stopień inwestycji w kapitał budowlany gospodarstwa, a budynek mieszkalny jest tylko jednym z elementów tego kapitału.

Kwestii domu mieszkalnego w gospodarstwie rolnym pod żadnym względem nie da się rozwiązać w oderwaniu od rzeczywistości gospodarczej — gospodarstwa, dla którego dom ma być projektowany.

Rozumiem — kultura, higiena, minimum powierzchni użytkowej na jednego mieszkańca, ba i plastyka — są to sprawy bardzo, bardzo istotne, — ale planista i projektujący osiedla wiejskie i zespół budynków w zagrodzie i projektujący dom mieszkalny — nie mogą się oderwać od konkretnej (czy postulowanej) rzeczywistości gospodarczej, gdyż inaczej cała jego praca będzie miała charakter wyłącznie teoretyczny.

Reasumując:

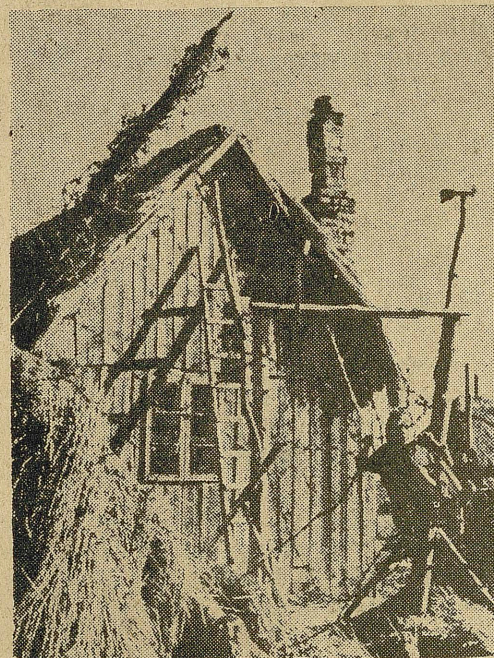
W moim rozumieniu — nie ma nawet szkieletowego wyczerpania tematu architektury wsi — gdy się pomija kwestię architektury „części gospodarczej zagrody”.

Bardzo interesująca praca inż. Tworowskiego w 1/3 poświęcona tematowi domu mieszkalnego, w 1/3 tematowi planowania wiejskiego, w pozostałej 1/3 zawierająca materiał ogólny i informacyjny — Architektura wsi w szerszym rozumieniu tego pojęcia nie jest.

II. Pisze inż. Tworowski — że „część gospodarczą zagrody stoi najbardziej pod znakiem zapytania, duża jest bowiem rozpiętość między skromniejszym programem zagrody w gospodarce uspołecznionej, a programem jednostki w pełni samowystarczającej” (str. 41, 42).

Przepraszam, nie rozumiem przeciwstawienia gospodarki uspołecznionej i samowystarczającej.

Gospodarkę uspołecznioną możemy przeciwstawić gospodarce nieuspołecznionej — indywidualnej, opartą na inicjatywie prywatnej właściciela lub kierownika; — samowystarczającej t. j. zn. zaspakajającej w własnym zakresie wszystkie potrzeby — niesamowystarczającą i t. d.



Odbudowa prowizoryczna

Pisze inż. Tworowski (str. 13): „przede wszystkim nieznany nam jest bliżej ustrój gospodarzy, przyjmując tu jednak z góry, iż oprze się on o spółdzielczość wytwórców, a więc także i wytwórców rolnych”.

Pisze inż. Tworowski (str. 14) „i tak w chwili obecnej wieś dojrzała już do poważnych przemian społecznych i gospodarczych”.

W ogóle jednym jakgdyby z podstawowych założeń pracy inż. Tworowskiego jest teza o nasilaniu wśród gospodarstw drobnych stanowiących obecnie i w okresie pisania o. mawianej pracy przez inż. Tworowskiego, prywatną własność posiadaczy — elementu uspołecznienia. Przyczyną wizja uspołecznienia gospodarki rolnej u inż. Tworowskiego — na szybkim koniu jedzie.

Już nawet dom mieszkalny projektuje inż. Tworowski bez „wielkiego pieca chlebowego” — gdyż „w niedalekiej przyszłości wieś zaopatrzona będzie w chleb przez piekarnię

spółdzielczą” (str. 51) i „przewidyujemy rozpowszechnienie pralni społecznych” (str. 52).

A cóż za tempo!

Zgoda, że nieograniczona prywatna własność w gospodarstwach rolnych, że nieskrępowany indywidualizm w tychże gospodarstwach przechodzi do historii. Ze spółdzielczość odegra wśród tych gospodarstw wielką i reorganizującą rolę, że uspołecznienie produkcji rolnej w typie — produkcji wielkiej nie jest tematem, którego nie należy rozważać i dyskutować. Ale daleko, daleko to jeszcze od dostawy chleba na wieś przez spółdzielczą piekarnię i od pralni chłopskich gaci w pralni społecznej.

Dużo wody w Wiśle upłynie — zanim dojdziemy do uspołecznienia tak elementarnych funkcji.

I myślę, że jednak przy projektowaniu domu mieszkalnego dla chłopskiej rodziny na wsi należałoby jeszcze na jakiś czas pozostać i piec chlebowy i pomieszczenie na pralnie indywidualne.

III. Miałbym również poważne zastrzeżenie jeśli chodzi o wstępne zupełnie ogólne uwagi do poszczególnych rozdziałów jak np. do rozdziału „osiedle” (str. 100) i do rozdziału „dom w krajobrazie” (str. 86), i t. p.

Zawarte w tych uwagach uogólnienia i skróty historyczne są daleko idącym uproszczeniem rozumienia historii rozwoju człowieka, osiedli ludzkich i t. d. Dla książki inż. Tworowskiego sprawy te jednak większego znaczenia nie mają.

Ma natomiast zupełnie istotne znaczenie używana nie dość ściśle terminologia.

Samo pojęcie architektury nie dość precyzyjnie wypada. Z tekstu nie bardzo jasno wynika gdzie się kończy budownictwo a zaczyna architektura, zaczyna planistyka.

To samo dotyczy np. pojęć: zagroda, siedlisko, osiedle.

Wydaje się, że pomimo istnienia — rozległego „Słownika Języka Polskiego” — pojęcia z zakresu planistyki nie są dość ściśle sprecyzowane w ogóle.

Sądzić by można, że kwestia ustalenia terminologii powszechnie i jednakowo przez planistów rozumianej — jest sprawą, która wymaga większej pracy i dłuższego czasu.

IV. I uwaga ostatnia.

Pomimo zastrzeżeń, jakie ze stanowiska ekonomisty nasuwają się w stosunku do pracy inż. arch. Tworowskiego „Architektura wsi”, ogólnie stwierdzić muszę:

Książka inż. Tworowskiego jest pełna niepokoju, pełna dynamizmu, pełna dążeń do zrozumienia potrzeb wsi i pełna troski o znalezienie środków i form zaspokojenia tych potrzeb.

I jest to jedna z zasadniczych cech charakterystycznych tej książki.

A druga.

Książka inż. Tworowskiego jest pełna planistyki. Gdy inż. Tworowski dobiera materiały, by zaprojektować dom mieszkalny, gdy poszukuje harmonii tych materiałów i całej kompozycji z otoczeniem, gdy zagrodę „wtafia” w osiedle, a osiedle w krajobraz, gdy dobiera barwy i poszukuje form dla drzew jak mówi „dzikich” i innych, gdy kształtuje przestrzenie ośrodków w osiedlu wiejskim i zaspala go z całym osiedlem — daje czytającemu cały szereg obrazów przemawiających do wyobraźni i zmusza go do poddania się określonej nastrojowości.

Tak pracuje człowiek objęty „potężnym prądem twórczym”.

Za autorem powtórzyć by można: „gdy przez cały kraj przejdzie potężny prąd twórczy, nie będzie przeszkód których byśmy nie pokonali” (str. 151).

Wacław Szymanowski

Przed nowym rokiem akademickim

Musimy dzisiaj wciąż pamiętać, że pod słowem „społeczeństwo” nie rozumiemy już, jak to bywało w latach międzywojennych, jakiejś elity, czy grupki w narodzie, ale ogół ludzi pracujących i żyjących ze swojej pracy — dlatego nie może być u nas żadnych wysepów choćby najbardziej szanowanych, które by mogły dalej żyć swoim własnym życiem i uchylać się od kontroli społecznej. Takimi wysepkami ściśle odgrodzonymi od szerokich mas pracujących narodu były nasze wyższe uczelnie i dla własnego dobra, jak też i całego narodu stan ten będzie musiał ulec zmianie, przez stopniowe coraz większe dopuszczanie czynników społecznego do kontroli różnych dziedzin życia w ich murach. Nie trzeba przecież powtarzać, jak ważnym jest zdemokratyzowanie wyższych uczelni, przez dopuszczenie na prawdę szerokich mas młodzieży chłopskiej, robotniczej i ze sfer inteligencji pracującej.

Czyż wobec konieczności stosowania egzaminów konkursowych na pewnych wydziałach, z powodu braku miejsc, nie jest wskazanym udział w komisjach kwalifikacyjnych także i czynników społecznego? Przecież przy mechanicznym kwalifikowaniu studentów, tylko na zasadzie wyników egzaminu, będziemy automatycznie faworyzować tę część młodzieży, której stan materialny rodziców pozwolił na lepsze przygotowanie i nie stworzymy napewno warunków równego startu życiowego przy którym mają decydować wyłącznie: zdolności i pracowitość. Jeśli przyjąć, że wśród egzaminowanych około 10% wykazuje na zasadzie doskonałych wyników niewątpliwie inteligencję i zdolności do przyswajania nauki, choć i to należy traktować ostrożnie, pamiętając zawsze o pierwszeństwie dzieci mas pracujących, a drugie 10—15% oczywiście brak zdolności, to mamy w pierwszym wypadku wielką liczbę kandydatów z których wybór jest bardzo trudny, gdyż ich kwalifikacje naukowe mało się różnią od siebie.

I w tych wypadkach powinni występować przedstawiciele społeczeństwa, orientujący się lepiej w środowisku społecznym kandydata od profesorów, którzy zwracają uwagę raczej na stronę inteligencji i przygotowania. Czynnik społeczny wyrównywałby tu niesprawiedliwość nierównego startu z powodów materialnych i przyczyniłby się tym do tego, że młodzież wyższych uczelni naprawdę byłaby najlepszym i najzdolniejszym reprezentantem całej młodzieży polskiej, a nie tylko nielicznej bogatszej grupy w narodzie. Udział taki przedstawicieli społeczeństwa zapewniłby młodzieży chłopskiej, robotniczej i z inteligencji pracującej, dla której bramy wyższych uczelni pozostałyby jeszcze zamknięte, że był w komisjach kwalifikacyjnych czynnik, który stawiał w obronie jej pragnień wyższych studiów jako pragnień całego środowiska, który wzywał do wyrównania nie tylko mechanicznie, i kontrolował niepożądane protekcje. Będzie ona miała także do poczucie, że proces awansu społecznego młodzieży chłopsko-robotniczej idzie ciągle naprzód i że klasy te dołądą upośledzone będą miały rosnący wpływ na kształtowanie się życia zawodowego, naukowego i kulturalnego całego narodu.

Jest jeszcze jedna dziedzina w życiu wyższych uczelni, w której czynnik społeczny mógłby mieć znaczny i dobroczynny wpływ. Tą dziedziną są bursy i domy akademickie, które w Polsce ludowej powinny coraz bardziej rosnąć w liczbach i jakości. I tutaj kontrola tych burs i domów studenckich, walka z przerostami biurokratycznymi administracji, dbałość o rozwijanie społecznego i kulturalnego życia młodzieży, stanowią szerokie pole działania, które w rezultacie pogłębiliby więzy tej młodzieży szkół wyższych ze społeczeństwem i także dałoby poczucie, że studia wyższe nie tylko nie powinny jej odrywać od szerokich mas narodu, ale że przeciwnie, wzmacniają one i pogłębiają więzy przynależności do mas pracujących.

Oczywiście krytycy nasi powiedzą, że dopuszczanie czynników społecznego do szkół wyższych godzi w tradycyjną autonomię uczelni. Jak wspominałem na wstępie nie może już być wysepki żadnego rodzaju w naszym życiu narodowym. Utrzymywanie fikcji samodzielnich, średniowiecznych, małych republik w Państwie, dysponujących sobą, bez głębszego wglądu w dobro ogółu i bez większej znajomości potrzeb całego narodu, jak też i zainteresowania tymi potrzebami, jest takim samym anachronizmem w wieku lotnictwa i bomby atomowej, jak pewne rozważania filozoficzno-scholastyczne. I wreszcie społeczeństwo ma chyba prawo wglądu i kontroli w tych instytucjach, które samo finansuje. Wprowadzając taką kontrolę społeczną uczelni — społeczeństwo będzie mogło domagać się także od swej młodzieży jak najpoważniejszego traktowania wyższych studiów i będzie mogło żądać wprowadzenia jak najostrożniejszej selekcji na wyższych latach, celem ustawicznego podwyższania poziomu naukowego.

Wówczas nareszcie będziemy mogli odkryć skarby talentów i zdolności ukrytych dotychczas w warstwach chłopsko-robotniczych narodu i zapewnić im należyty rozwój w naszym kraju, dla ogólnego dobra.

W numerze 26 „Wsi” - wyniki Konkursu na sztukę dla teatru ludowego

*) Tworowski Stefan — Architektura wsi — materiały do dyskusji. 1945. Wydawnictwo Spółdzielnia. Wydawnicza. Str. 159.

Tadeusz Seweryn

STRÓJ LUDOWY W POLSCE

Od Redakcji:

Fragment referatu prof. Tadeusza Seweryna ma dwie płaszczyzny: część faktyczna rzeczowa zaciekać jako narracja i interesujący zbiór anegdotów dotyczących ochrony stroju ludowego; część druga przedstawiająca komentarz etnografa-miłośnika ludowości jest dyskusyjna i może budzić zrozumiałe zastrzeżenia.

Przesuwa się ona poprzez obszerny zresztą referat jako uzasadnienie nie też naukowych, ale tendencji w dużym stopniu emocjonalnych i dotyczących gustów estetycznych, nie wartości. Dlatego właśnie dopuszcza dyskusję.

Autor uprzedzając możliwe zarzuty przytacza na wstępie racje przeciwników utrzymania stroju ludowego — obrońców rzekomej jednolitości kulturowej państwa, postępu cywilizacyjnego, równości społecznej, praktyczności i taniości ubioru fabrycznego. Zbija te poglądy i przechodzi z kolei do omówienia metod ochrony ludowego stroju, którego zanikanie uważa za objaw chorobliwy, wymagający zastosowania środków leczniczych i profilaktycznych.

Zamieszczamy część referatu najbardziej obiektywną — nie godząc się z tendencją autora — znakomitego zresztą znawcy przedmiotu.

Wysiłki zmierzające do utrzymania pewnej wartości ludu związane z jego sytuacją historyczną są charakterystycznym objawem oporu kulturowego, którego aspekt polityczny i społeczny nie musi być przecież wsteczny. Działalność kulturalna tego typu propaguje pewne emocje i gusty estetyczne — które będąc w niezgodzie z dążeniami praktyki życiowej i mody noszą silne piętno sentymentalizmu.

Pobłażliwość i humor nawet tego szkicu, którego autorem jest zwolennik mody ludowej — jest jedynym stanowiskiem wobec sprawy, której żadne rygory nie przesadzą, sprawy tak lekkiej, jak moda i tak spornej jak to, co się podoba.

Jeśli rostrząsamy zagadnienie stroju ludowego w teraźniejszości i przyszłości, nie wolno nam tracić z oczu jego przyrodniczych, ekonomicznych, historycznych, społecznych i psychologicznych warunków, które powołały go do życia. Nie wolno nam sprowadzać jego wartości ani do zabawy w sentymentalną sielankę przeszłości, ani do karmienia oczu barwnym piórkiem u kapelusza, wstążką we włosach albo pasiastą kiecką, gorejącą jaskrawością barw. Trzeba nam natomiast starać się o dostarczenie pod tym przyjemnym pokarmem dla oczu — wartości stroju jako istotnego ludowego dorobku kulturalnego.

Wchodzimy więc na drogę poszukiwań metody opieki nad strojem ludowym. Poszukiwania te dają wynik naogół negatywny, jeśli stwierdzimy, że opieki nad strojem ludowym nie miało w swym programie żadne towarzystwo kulturalne w Polsce. Nawet Towarzystwo Popierania Sztuki i Przemysłu Ludowego, które wchodziło zaczęły na drogę planowej opieki na sztuką ludową, nie zajmowały się tą sprawą wcale. Niemniej prawie wszystkie towarzystwa oświatowe i kulturalne, pracujące na wsi, zgłosiły za pośrednictwem wielu działaczy społecznych, hasła zachowania stroju ludowego. Kierując się względami artystycznymi i narodowymi, nie bez romantycznego sentymentu do przeszłości, starały się one zachować kwiat, nie dbając o jego liście i korzenie. Wieleletnia działalność tych towarzystw w dziedzinie opieki nad swojszczyzną, nie oparta o żaden plan i metodę, okazała się naogół bezpodatna.

W poszukiwaniu metod pracy w tej dziedzinie nie należy sięgać po wzory zagranic.

*) Referat wygłoszony na Zjeździe Centr. Instytutu Kultury w Zakopanem.



Para młoda w stroju krakowskim przed 40 laty.

czne. Nie odpowiada nam bowiem niemiecka metoda „zgałchszaltowania” wszystkich strojów do jednego, masowo fabrykowanego uniformu ludowego. Nie odpowiada nam zarówno ze względu na formę totalistycznej opieki nad strojem ludowym, jako też nadania uprzywilejowanemu typowi stroju cech nazistowskiego munduru. Szczególnie po wojnie gdy jeszcze żywo mamy w pamięci różne zbrodnicze indywidua, paradujące po naszej ziemi w białych pończochach, zielonych kapeluszach z piórkami lub pędzlem i wyświechtanych spodenkach tyrolskich — odraza do tego stroju stała się u nas powszechna.

W Polsce podobne tendencje nie ujawniły się nigdy, aczkolwiek wybór stroju krakowskiego, jako reprezentacyjnego stroju ludowego zdaje się być niesporny. Wszak banderle krakusów witają przyjazd biskupa lub dygnitarzy państwowych nawet w ziemiach daleko poza granicami ziemi krakowskiej. Krakowiacy tańczą się tak w Gdańsku jak i w Bel-

gradzie lub Chicago, a w strój krakowski jeszcze niedawno odziewały się zarówno panie z zagranicznych korpusów dyplomatycznych w Polsce, jak i drużbowie na weselu rabina w Bobowej.

Takie wyróżnienie stroju krakowskiego nie ma nic wspólnego z ogólnym hierarchizowaniem stroju ludowego w Polsce. Należy tu bowiem wziąć pod uwagę momenty patriotyczno-historyczne, które wpłynęły na powszechną sympatię do tego typu odzieży regionalnej. Wszakże chłop krakowski szli z kosami na armaty pod Racławicami, wszakże sułtana naczelnika Kościuszki, pod Maciejowicami, stała się relikwią narodową. A potem ktoś to, jeśli nie chłop krakowski, krzyknął w „Weselu” Wyspiańskiego na całą Polskę, że „chłop potęgą jest i basta”? I odtąd wszelkie marzenia o wolności zrosły się z wiarą w nadchodzący świat — kiedy nowe pokolenie chłopskie zadumie „w złoty róg”. Te to czynniki, obok niepospolitej dekoratyw-

ności i rycerskiej junackości tego stroju, obok dominujących w nim barw narodowych — białej i czerwonej — oddziaływały bezspornie na jego charakter reprezentacyjny.

Niemniej samorzutnie, zgoda z inną podłoża, wyrastała równorzędnie reprezentatywność polskiego stroju Podhalan, Łachów sądeckich, Księżaków i Ślązaków, a niezawodnie z biegiem czasu i w miarę siły napięcia naszych zainteresowań ku innym grupom etnicznym, powstałyby nowe wykładniki reprezentatywności polskich strojów ludowych.

Te jednak samorzutnie kształtujące się formy przedstawicielstwa strojów ludowych w Polsce nie mają żadnego związku z totalistyczną ingerencją państwa w dziedzinę, rządzącą się własnymi prawami.

Do ogólnych metod opieki nad strojem tradycyjnym należy też praktykowany we Francji zwyczaj, nie pozbawiony zresztą pewnej teatralności, wedle którego merowie miast, prefekci departamentów oraz znaczniejsi urzędnicy miejscy wraz z ich żonami obowiązani są do noszenia stroju regionalnego podczas świąt urzędowych i znaczniejszych uroczystości. Zwyczaj ten wszedł w życie nie bez propagandy i nacisku francuskiego ruchu regionalistycznego, a sporadycznie przyjął się jako moda inteligencji, szczególnie pań. Gdziekolwiek znów przyjęły go sfery robotnicze.

W Polsce, gdzie strojem regionalnym jest niemal wyłącznie strój ludowy, pomysł takiego strojenia się panów w piórka wiejskie przywytany byłby z łatwo zrozumiałym humorem.

Nie odpowiada nam również metoda ochrony stroju ludowego praktykowana przez zaśluzone zresztą na polu oświaty ludowej szwajcarskie towarzystwa swojszczyzny, narające między innymi na celu zachowanie strojów tradycyjnych i obyczajów ludowych. Działalność tych organizacji nie może być wzorem dla nas z tego względu, że obejmują one skuteczną opieką jedynie samodzielną strój codzienny i to tani, wytwarzany w spółdzielniach, a sprzedawany nawet w straganach jarmarcznych. U nas, gdzie strojem codziennym staje się przeważnie podniszczony strój świąteczny, prowadzenie analogicznej akcji nie mogłoby wieść do celu. U nas może być mowa przede wszystkim o zachowaniu stroju świątecznego, jako najpopularniejszego sprawozdaniu naszych odrębności regionalnych oraz jako cennego dorobku kultury ludowej, wchodzącego w dziedzinę sztuki.

Nie znajdując w zagranicznych metodach opieki nad strojem ludowym niczego, co by mogło być nam przydatne do działania w naszych warunkach — dokonajmy przeglądu naszych rodzimych wysiłków. Było ich wiele ale rozproszonych i nieskoordynowanych wspólną myślą planową.

Do najdawniejszych opiekunów stroju ludowego należeli bezspornie księża. Jedynymi kierowało szczerze przywiązanie do swojszczyzny, drudzy traktowali tę sprawę ze stanowiska potrzeb Kościoła, uważając strój ludowy za nadający się znakomicie do uświetnienia uroczystości kościelnych, przyjazdu biskupa itd. Byli wreszcie i tacy, którym strój ludowy potrzebny był ze względów wychowawczych, jako pułkier przed inwazją zgorzelenia, idącego ponoć od miast. W związku z tym zwalczali oni przywdziewanie stroju miejskiego na wsi, jako oznakę panoszenia się ludu, mędrkowania i upadku pobożności. Metody stosowane w tej dziedzinie przez niektórych duchownych starszej generacji, były osobliwe. Ks. Karol Szałasny w Marcyporebie koło r. 1890, a ks. Maryniarczyk w Podgrodziu koło r. 1925 zażądał od młodożeńców, by przychodzili do ślubu w nowym stroju ludowym. Był to jednak środek naogół zawo-



Gospodarz z Istebnej, pow. Cieszyn

Stanisław Skoneczny

CZWARTA WIOSNA

Jak ogród gałęziami wydłuża się w ulicę wsi,
czwarta wiosna wydłuża się w wojnę postronkami wisieleców,
dla których zamiast trumien
ma koperty grabarz w mundurze brzęczącym orderami
na płamach krwi.

Wieczór zbiera pod murami echa salw egzekucji
w czapkę noce świecą srebrną gwiazdą trupiej głowy.
Nad ciszą miast wisi księżyc jak topór.
Wieczór płowy, jak więzień koncentracyjnego obozu,
w pasiaku wojennej wiosny
nie widzi zieleni topól.

Jasny chłopak, który pisał przed wrześniem wiersze,
przechodzi między gieldą i zdradą
z rewolwerem nabitym, jak radość
wybuchem śmiechu,
albo jak ręką
wybuchem granatu
między gieldą, zdradą i wiosną.

Bagnet grający melodię zemsty i nienawiści
na gardle pojmanego wroga
pod pachnącymi żywicą drzewami lasu,
będącego niezwykłym bastionem Rzeczypospolitej,
jest złotym piórem,
które
notuje zdania pierwsze
w tych dniach
wielkiego poematu.

1944

ODWRÓT

Macierzanki jeszcze woń noszą miedziami w sady
ociężale zielenią mroku nad śladami dziecinnych stóp.
Żurawie skrzypią przeciągle, niebo podnosząc blade.
O szyby warkot myśliwców dzwonił jak uderzenie grud.

Na pustym horyzoncie drzewa idą gromadą.
Nieruchomo sterczą gałęzie nad skrzydłami wiatraków.
Drogą pełną wyboi w zmierzchu wojenny idą i idą,
a szumi nad nimi lot ciągnących na gniazda ptaków.
Helmy dzwonią o siodła, rzemienie parzą skórę
koni łowiących w uszy trąbkę wśród sosen burych.

Wynoszą kobiece ręce w mijanej wsi garnuszki
z mlekiem kipiącym pianą. Usta piją zaschnięte.
Śpią się liście krągłe, po lufach jak pełne gruszki.
Schną malwy w ogródkach, a rosa dojrzewa miętą.

Gwiazdy nie błyszczą na niebie. Wiatr drzewinę gnie,
biegnąc łakami tratuje trawy pochylone.
Milcząca wieża kościoła wyrośnie nad wzgórzem dniem
czerwona i strzelista w błękitie zadymionym.
Zaśręczony czasem karabin, piasek miał koła
wozów ocalałych. Głos zachrypły woła.

Płyną czarne pola ścierniskiem żyta i pszenic,
nogi oblepia droga kurzem zroszonym i mgłą.
Człapią konie, żując pociemku zapach zieleni,
Zjeżdżone deski mostu pod tupotem się gną.

Człapią końskie kopyta, nogi podbite, obdarte
Marsz wierchołkami wierzb znaczy swój szlak
Kołyszą głowy sennie sny o odwiecie za Wartę.
Nad Odrą w dżdżeniu potężnych dział
idą sennie wizje. W gałęzie pada deszcz,
a w oknie domu, co ocalał, w fabrycznym mieście
głowa siwa i oczy pełne łez.

1944

dny. Nakazy bowiem i zakazy w dziedzinie kultury nie mogą budować rzeczy trwałych. Jako środki z repertuaru biurokratycznego są z zewnątrz narzuconym przymusem, który ścieka po człowieku, jako deszcz po gęsi, jeśli nie odpowiada mu nakaz wewnętrzny, potrzeba i przeświadczenie o jego słuszności. Nie dziw zatem, że młodzieńcy starali się omijać te zarządzenia i przychodzili do ślubu w stroju pożyczanym. Gdy ksiądz nie dał się wyprowadzić w pole, dochodziło wtedy do przekonania, nie pozbawionych komizmu.

— Bratku, z kogoś to zdarł? — pytał obcym ks. Maryniarczyk.

— To ojcowe — odpowiadał, chwytając się spekulacji kandydat na młodego pana.

— Sumienie?

— Ojcowe — nie ojcowe, ale dzisiaj moje.

— Aha, takiś mądry? Żenć się chcesz, a portek swoich nie masz?

Innym razem robił ksiądz proboszcz znak na podszewce wypożyczanego ubrania i zapowiadał srogo:

— Żebym ja tych portek więcej przy ślubie nie widział.

Była to zabawa w ciuciubabkę, bo znak łatwo można było wymazać lub zaszyć.

Naogół jednak księża, jako organizatorzy obrzędów i uroczystości kościelnych, oddziaływali dodatnio na żywotność stroju ludowego. W bardzo wielu parafiach w Polsce utarł się bowiem zwyczaj, że tylko poważni gospodarze w sukmanach, guniach lub świtkach noszą baldachim nad celebransem w Boże Ciało i tylko dziewczęta w miejscowych strojach ludowych syplą kwiaty podczas procesji lub niosą ukwiecone feretrony.

Gdzie indziej znowu najwydatniej w tym względzie oddziaływało duchowieństwo na lud za pośrednictwem szkoły, zanotować tu należy, że np. w renesansie stroju ludowego w góralskich wsiach Śląska Cieszyńskiego najpoważniejszą rolę odegrały dzieci szkolne, wychowane w duchu poszanowania swojszczyzny. Księża i nauczyciele posługiwali się w tej dziedzinie delikatnymi środkami działania. Wyzyskując mianowicie powszechny zwyczaj uroczystego odziewania dzieci, idących do pierwszej Komunii, tłumaczyli rodzicom, że „najrozsądniejszym i najparadziejczy” strojem w takim momencie jest strój góralski i w związku z tym umieszczali dziewczynę, ubraną po góralsku, na czele zwyczajowych pochodów młodzieży do kościoła, na drugim zaś miejscu — dzieci odziane po „walsku”, wedle mody okolic podgórskich, na trzecim wreszcie dzieci, ubrane w miejską. Odwoływali się więc do psychologicznych właściwości rodziców, czujących w takich rzeczach na punkcie umożliwienia swym dzieciom pierwszeństwa przed innymi albo przynajmniej zrównania ich z pierwszymi.

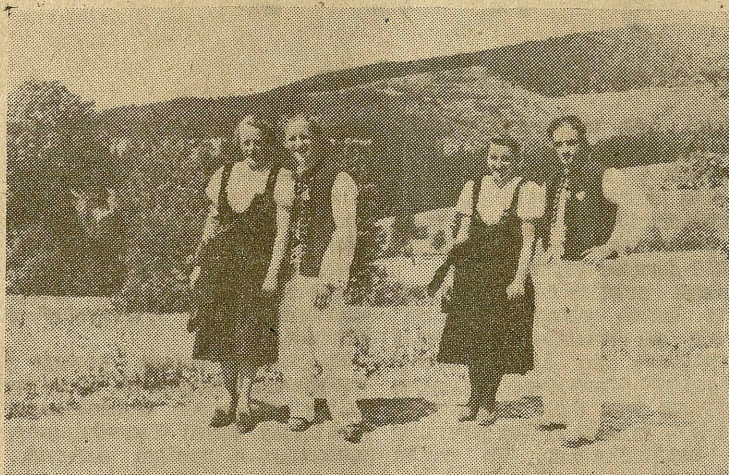
Wyniki tego rodzaju propagandy nie dały długo czekać na siebie. W Istebnej, Jaworzynie, Koniakowie i innych wsiach, w których gnać już zaczynał strój góralski pod wpływem udogodnień komunikacyjnych z letniskową stolicą Śląska Zielonego, Wisła — na nowo odżyła moda noszenia się po dawnemu. Zwykle bowiem gdy kupowano materiał samodzielnemu na ubranie dla dziecka — znalazły się pieniądze na kupno stroju góralskiego i dla starszych.

Ważną też rolę w zachowaniu i propagowaniu stroju ludowego spełniały tu i owdzie w Polsce związki młodzieży wiejskiej. Już przed drugą wojną światową pojawiły się u nas próby w tym kierunku, aczkolwiek jeszcze niesmiałe, bezplanowe, dorywcze i nieprzemysłane. Na Węgrzech jednak i w Estonii mogły te związki pochwilić się daleko lepszymi wynikami swej pracy. Przykładem dodatkowych wyników fachowego oddziaływania na sprawy swojszczyzny były u nas Zjazdy Górskie, pod których wpływem lud góralski uczył się szacunku dla swego stroju, pieśni, tańca i obrzędu i rozróżniania między nalecia-

łościami obcymi, a tradycją regionalną. Z obrzędów rodzinnych największym wzięciem cieszyło się wesele, a z obrzędów dorocznych — dożynki — dwie tradycyjne rewie najszy-

niejszych strojów ludowych. Teatralny pierwiastek tych obrzędów sprzyjał wydatnie konserwacji stroju tradycyjnego.

Podobną rolę odgrywały uroczystości ludo-



Grupa młodzieży w stroju regionalnym (Istebna).

Ludwik Łakomy

JASIENIEC BUDUJE DROGĘ

Poznałem Jasieniec podczas okupacji. Opadał niego, w Skarżysku Kościelnym, przewaliło się nade mną wspaniałe uderzenie wojsk radzieckich, które w wyniku doprowadziło do zdobycia Berlina. Znałem Jasieniec jako wieś zapadłą, płaciami (dosłownie) odgradzoną od świata, głodną, bezrobotną, chociaż nad podziw uspołecznioną. Tu, czasu okupacji, była ostoja partyzantki, tu zgony partyzant mógł odpocząć i pożywić się nieco; tu również spadochroniarze radzieccy znajdowali jak najszybsze przyście.

A oto po dwu latach dostrzegam rewolucyjną zmianę na lepsze. Wsi o takim rozmachu organizacyjnym jak Jasieniec, nie wiele w Polsce. Tu dopiero jasno i wyraźnie dostrzeżać się, że kochanie wsi — kochaniem, gadaniem o chłopach stanowiących 70 proc. narodu — gadaniem, natomiast jaskrawą rzeczywistość stanowi fakt odnalezienia środka do uleczenia jej kalektwa przeszłości, środka, którym w pierwszym rzędzie jest — droga.

Patrzę w uciwie a szczerze oczy mego przyjaciela z czasów okupacji, obecnie zaś kierownika budowy drogi powiatowej Skarżysko — Iłża na odcinku km 18,582 do km 26,52. Idę krok w krok za inżynierem Krogulcem i podziwiam, podziwiam. Objają mi się o uszy określenia techniczne: roboty ziemne m sz 32385, wydobywanie i dostawa kamienia podkładowego m sz 9600, pokruszenie z dostawą tłuczni oraz grysu żużlowego m sz 8000, dostawa piasku na warstwę filtracyjną m sz 4800, ułożenie podkładu m kw. 48000, wałowanie jezdni m sz. 7200, do stawu brukowca m sz 1200, zabrukowanie opasek m kw 4000, ustawienie krawężników m bież. 4000, wykonanie szachów po-pręcznych m bież. 1680, ubezpieczenie robót ziemnych m bież. 16000, budowa przepustów i mostów sztuk 10+1, dostawa materiałów do smółowania ton 12000 grysu oraz ton 96 smoły, wreszcie smółowanie powierzchniowe m kw 48000.

Wykaz graficzny czyli harmonogram zamawiania mnie z postępem robót. Personel techniczny w osobach ob. ob. Cmurzyńskiego, Dymucha i Drożdża objaśnia co do szczegółów. O sprawach administracji oraz umiejętności wiazania „końca z końcem” informują ob. ob. Żywicki, Kędziora, Sadowski, Markiewicz a także dwie hoże Jasieniczanki, zajmujące się wyżywieniem personelu.

Notując szczegóły zarazem przypominam sobie ogólne dane z fizjografii tych okolic. Wiem, że powiat iłżecki, to okręg rolniczo-leśno-przemysłowy. Wiem, że w okręgu Jasienica istnieją dość rozległe oraz bogate w mangan złoża rudy żelaznej. Przypadkiem i to mi wiadomo, że powierzchnia powiatu iłżeckiego wynosiła przed wojną — 178263 ha, z czego ziemi użytkowanej rolniczo było ogółem 121032 ha. Ziemia żytnio-ziemniaczana, z tym, że w okręgu Jasienica uprawia się moc lnu, gryki i prosa. A przecież wiadomo, że „kto sieje proso, chodź głodno i bosy”. Bieda potęguje się tym bardziej, im gorsze w danej okolicy istnieją warunki komunikacyjne.

Gościńiec błotnisty osadzi w miejscu największe wysiłki człowieka; trakt piaszczysty szybko zmęczy robotnika śpieszącego na dniówkę; nawet najskromniejsza poczynania uniemożliwi brak dobrej drogi, bez której wytyczenia oraz zbudowania i jednolitości i społeczeństwa błądzą po manowcach.

Niby to nie taki sobie postród chałup, pól i lasów biegający długi pas z torbami kurzu na wyżyłowanej nawierzchni. I któż się zastanawia, że z postępem robót takiej właśnie bitej drogi wieś może zerwać z drzemki, ciemno i zabobonem, plotkarstwem i niewiarą we własne siły? Kiedy gromada jasieniicka na ładnych parę lat przed wojną zaczęła zabiegać o budowę drogi, ów jeden tylko fakt zaświadczył o jej dojrzałości społecznej. Bo Jasieniec — to nie Reymontowe Lipce z ciasnym zaskorupiałym konserwatyzmem odwrócone od wojtowego Grzeli lub dobrze wszystkim czyniącego Rocha; to nawet nie Lisków z całym bagażem inicja-

tywnej społecznej, lecz jednostkowej; to — zrzeszona, odpowiedzialna za to co czyni dla dobra już nie tylko swego, lecz następnych pokoleń, wola wydzwignięcia gromady wsiowej z jej bezradności, obojętności oraz stepienia.

Mysł poprzedza każdy czyn. Wódarz województwa kieleckiego a chłop z dziada pradziada, mjr. Wiślicz - Iwańczyk rzucił myśl, także chłopski syn, inż. Zenon Krogulec, myśl obleka w ciało tworząc kościół, obok którego powstaje wzorowa wieś polska: — Jasieniec. Ci dwaj ludzie nie spirali się z sobą o program zniweczenia chłopskiej biedy. Ci dwaj ludzie zgodnie orzekli, że z biedy do jasnej przyszłości może chłopów wprowadzić tylko twarda, bez błota i piachu, droga przez wieś.

Wolno, lecz ustawicznie kładzie się na piach sprężysty szlak nawierzchni; szybko, jak grzyby po deszczu, wyrastają obok jej krawężników — szkoła budowlana, gimnazjum elektrotechniczne, tartak betoniarń, poczta, jedna, druga i więcej agend spółdzielni Samopomocy Chłopskiej; z dokładnością mechanizmu zegara gromada Jasienica pracuje nad wydzwignięciem swej wsi z marazmu, mającego swe źródło w niedostatku.

Rozglądam się w mapie. O nie dobrze! Na bardzo krótkim odcinku, zaledwie od Łyżew do Krynek, biegnie tor linii kolejowej. Jedna droga bita Starachowice — Iłża — Radom, biegnie równoległe do Wisły wcale do niej nie docierając. Co najmniej 0,9% rolniczo — przemysłowego powiatu, to bezdroża. Nie masz z nich wyjścia bez drogi! Obszar do skowronkowych zawodzeń, do pohukiwania „oj ostre kosy nasze” w chwilach spoczynku, ale obszar nie do pracy, nie do postępu, nawet nie do jakiegoś takiego bytowania. Nie dziwota, że istnieją tu duże wahania cen w czasie i przestrzeni, gdyż powodują je głównie złe warunki komunikacyjne. Słowo tu nieczym a i oświata bezpłodna, pokąd powiat iłżecki nie będzie posiadał kregostupa w postaci drogi umożliwiającej mu dostęp do Wisły a z nią i do morza.

Jest to właśnie jasieniicka droga, która przeciąwszy drogę Starachowice a raczej Wierzbik — Radom pójdzie dalej aż do Wisły.

Kiedy szczupła ekipa drogowa Urzędu Wojewódzkiego z Kielc po raz pierwszy zawiązała do Jasienica, zrazu patrzono na nią społem, jakby te samochody marki „Jasieniec”, wały i niwelatory pragnęły zatracić zbawienie pośmiertne chłopów. Kiedy przed rokiem Stasia Kozłówna przyszła do pomocy w stołowie, było to dziewczę nierozgarnięte, nieśmiałe i, niechże mi nadobna współpracowniczka budowy jasieniickiej drogi wybaczy, nieco — brudnawe. Dziś Stasia zaawansowała na kierowniczkę stołówek, dziś jest ona inteligentna, roztropna, czysta i miła, a co najważniejsze — bardzo uspołeczniona niewiasta.

Kiedy mistrzowie drogowi wszczęli prace na piaszczystym trakcie, zrazu ręce im opadały na widok ospałości, niedbalstwa a nawet i złej woli podporządkowanych im kierownikom. Trzeba było poganiać, błagać, prosić, potracaniem zarobków grozić a narzędzi strzec jak skarbu, bo — ginęły. Dziś, po roku, praca idzie składnie; każdy z robotników powierzona mu czynność wykonuje skrupulatnie, sumiennie a przy tym szybko i nie trzeba już poganiać; bo szlak dokonywanych robót stał się areną wysiłku współwzajemnego z sobą drużyn.

Jakimże to sposobem zaszła taka przemiana? Czy to szlak drogowy inż. Krogulca w czymkolwiek do niej się przyczynił? Trudno tu przypisać zasługi jednostkom, kiedy się widzi, jak mimo słonecznego skwaru budowa jasieniickiej drogi zwawo postępuje naprzód, jak praca wre aż do chwili, kiedy słońce za lasy się skłania.

To tylko, trzeba dodać, że ekipa drogowa uczyła własnym przykładem. Na wstępie uruchomiono własne kamieniołomy, wyuczono obsługę samochodów i wałów, uczono, jak należy ekonomicznie a szybko

we, organizowane w różnych ziemiach Polski.

Zrozumiano też u nas, że Podhale, zmieniające swą gospodarkę rolną na pasterską i letniskową, posiada trzy atrakcje dla przyjezdnych: powietrze, góry i wabiące oczy swojszczyzną. W związku z tym Towarzystwo Tatrzańskie postanowiło jeszcze przed kilkunastu laty, że przewoźnikiem na Dunajcu może być tylko ten, kto ma góralskie odzienie, a dorożkarze zakopiańscy bez przymusu zrozumieć, że strój góralski jest dobrą przynętą dla gości, że to nie tylko parada, ale i interes. Nie zatoszczono się jednak o wygląd tego stroju. Nikt nie dbał o to, że na cudze wyłaziły jakieś banalne kwiaty, których nikt nigdy w górach nie „cyfrował”, jakieś dziewięciorniki, różowe tulipany, róże i cały ogród zielska. Nikt nie dbał o to, że przepiękne parzenice, wystudowane przez wiejskich krawców, te ozdoby, którym tylko góral mógł nadać tak stylową formę, paskudziły się pstrokacizną ostów, żabich oczek, tulipanów i innych cudactw, które z portek górala robią istne „kumedyje”.

Tadeusz Seweryn

pracować, aż wreszcie doprowadzono do tego, że dziś troska o postęp budowy stała się dobrowolną, ochotniczą, przypominającą troskę chłopca o jego własne gospodarstwo. Półobnażone plecy i żylaste ręce gną się i poruszają rytmem istot myślących, czujących oraz zdających sobie sprawę z doniosłości jasieniickiej drogi.

Siedząc w czystej rozkwiecionej stołowie rozmawiam z Jasieniczankami. Jeden z nich, o obliczu zapaleńca, rąbie słowa twarde, odmierzone:

— W naszym Jasieńcu dokonuje się wielki proces formowania nowej rzeczywistości polskiej. Zapoczątkowaliśmy go już dawno biorąc czasu ery sanacyjnej udział w pochodach pierwszomajowych, uważając, że nie ma podziału na stany: chłopski i robotniczy, lecz, że wszyscy jesteśmy robotnikami. Wzorem robotniczym ma być wzorem idącej Polski, jak wzorem szlachecki był wzorem Polski aż do roku 1939. Przeto zapragnęliśmy, z biedy wyrosł, przekształcić zacofanego członka chłopskiej gromady według takich zasad, jakimi posługują się robotnicy w ich działalności politycznej. Postanowiliśmy stworzyć taką wspólnotę, która by nas wywiodła z niewoli kapitału. Uruchomiliśmy więc różnego rodzaju warsztaty, w których praca jednego zależała od pracy drugiego, los jednego od losu całej wsi. Pewnie, to musiało być „czerwone”!

Przeróżni „opiekunowie” chłopów — podchwytyjąc siedzący na poczemym miejscu starzec — gromili Jasieniczanki określając ich działalność mianem „wywrotowej”. Tak, w ówczesnych warunkach, to musiało być „wywrotowe”. Za ciemność i niedzę obiecywali nam zapłatę w niebie; pęd do lepszego życia, mieszkania i oświaty w ich pojęciu był robotą antypaństwową...

Twarz o wkleśłych policzkach i kanciąstych szczękach ożywia się; zniekształcone od okaleczeń palce zwierają się w pięść; mowa, zda się, że „robi” słowa, że wykukwa je w głębi swego mózgu.

Nie mogliśmy się doprosić o szosę, chociaż bez niej żyć nie sposób. Wszakże nasze starania i zachody spotykały się z pogardliwą obojętnością. Perswazje, że toniemy w błocie lub mordujemy się w piachu, nie odnosiły skutku u „kompetentnych czynników”. Trzeba było dopiero manifestu lipcowego, aby wynędniała gromada Jasienica uzyskała prawo wkroczenia w szranki współczesnych dzieł świata przez budującą się teraz właśnie drogę.

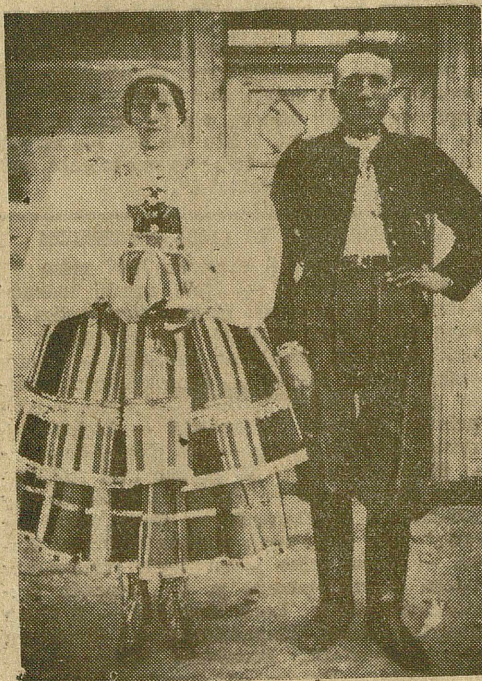
Zaczyna przemawiać szorstki w obejściu młodej, imponujący swą zewnętrzną postawą byłego żołnierza — partyzanta:

— Co tu gadać! — uderzenie dłonią w kolano, jakby przypieczątowanie tym ruchem sprawy już dawno przesądzonej. — Za rok o tej porze wykonamy drogę; prócz szkoły budowlanej uruchomimy gimnazjum elektrotechniczne; wydobyć limonitu w pobliskiej kopalni rudy żelaznej, która czasu wojny służyła nam za miejsce zbiórki partyzantki, wzrośnie tak dalece, że huta starachowicka wyprodukuje i nam tyle szyn, iż w lot ułożymy tor kolejki Skarżysko — Jasieniec. — Lipsko — Wisła. A potem wytworzy wsiowej pracy drogą najtańszą, bo wodną, popłyną hen, w świat!

Stanowcze i mocne są zawsze chłopskie słowa i uściski. Już żegnając się słyszę wyrazy szybkie jak ruchy a ruchy pewne, jak uderzenie młota na stalową sztabę:

Tu będzie stał młyn, tu fabryka maszyn rolniczych, opodal rzeźnia a tam Ośrodek Zdrowia. Znikną słomiane strzechy, zastąpione przez wytwarzaną już przez nas dachówkę. Obok kamieniołomów, uruchomionych przed rokiem, powstanie cegielnia. Domostwa z cegły przekształcą oblicze wsi, która obecnie pragnie tego wszystkiego, co dotąd było udziałem tylko bardziej przedsięwziętych lub szczęśliwych jednostek. Wyżwirowany, o sześciometrowej jezdni, obsadzony drzewami jasieniicki gościńiec wywiedzie nas na obszary Ojczyzny zrzeszonych ludzi pracy. Ojczyzny — ziemi mlekiem i miodem płynącej.

Ludwik Łakomy



Para łowiecka

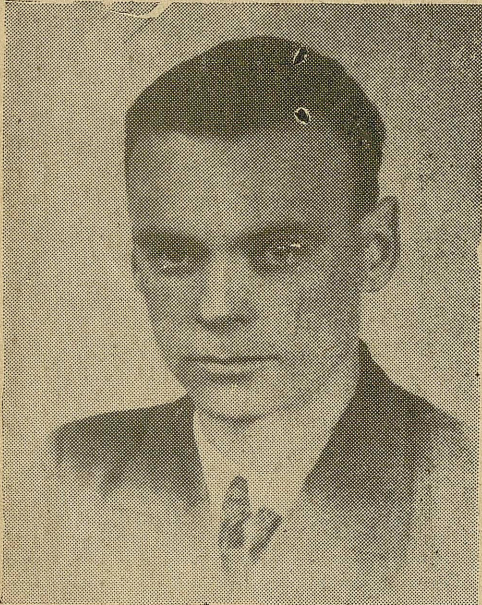
Tadeusz Chróścielewski

„Wyżynka”

O książce Teodora Goździkiewicza

OMYŁKA

Pierwszą grupę nowel „Wyżynki” można nazwać grupą dworu i wsi. Złożyły się na nią trzy utwory napisane między rokiem 1924—28. W noweli tytułowej przedstawiony jest wyzysk dziewcząt folwarcznych ze strony dygnitarzy dworskich. Zaczyna się ona udanym opisem pełnej fałszywego serwilizmu uroczystości Wyżynki (dożynki) i dalej już mowa o wydarzeniu, które nazywa autor „historią starą jak starymi wieś i dwór być mogą” — uwiedzenia Józki przez rządcę. Dziewczyna ku zgorszeniu dworu i koleżanek odrzuca praktykowany zwykle w takich razach podarunek i jak się zdaje — popełnia samobójstwo.



TEODOR GOZDZIKIEWICZ

Noweli — niewolnej od efektów melodramatycznych — przydaje autor poetyckie zakończenie o „krwawej doli ludzkiej”, która „idzie po wydeptanych bosymi nogami ścieżkach i łka”.

Artystycznie najlepsza druga z rzędu nowela pt. „Polowanie” mówi o tym, jak rozrywka panów staje się mimowolną przyczyną śmierci chłopca, którego rozszarpuje zraniony dzik zabłąkany między płotami. Wiśś o masakrze nie budzi zainteresowania u zadowolonych z siebie myśliwych.

Utwór ostatni — najjaskrawszy.

Paniak — syn dziedzica nie posiadający żadnych hamulców moralnych, dwudziestoletni bęwał znakomicie scharakteryzowany — goni dziewczynę zbierającą w pańskim lesie chróst. Podniecony pościgiem, który właściwie zaczął dla sportu, bije ją nieludsko. Po kilku dniach na wiadomość o przyjęciu matki pobitej znajduje jedynie te słowa: „Głupstwo, tatku, skórę ma twardą i nie tyle powinna wytrzymać”.

Gdy zaś ojciec oznajmił mu, że dziewczyna umarła, mówi: „Pewnie (matka) coś chciała na pogrzeb. Oni wszyscy tacy, nie żal im dziecka, lecz pieniądze wydanych na pochowanie. Pieskie nasienie!”

Goździkiewicz posiada cenny dar chwytania wtórnych szczegółów życia i nadawania im głębi w rzucanych z lekka niemal od ręki obrazach.

Czy chwytają jednak w juveniliach, jakimi są powyższe trzy nowele, zasadnicze kontury rzeczywistości zmiennej i ciągle narastającej? Wątek pierwszej i trzeciej noweli kształtowała długotrwała tradycja literacka wywodząca się z wczesnych warstw sentymentalizmu z jego egzaltowanymi powieściami w typie Richardsona i transparentem ideowym: Deklaracji praw człowieka i obywatela. Wątki te są żywotne przez cały XIX w. — który ustanowił „Sturm und Drangperiode” myśli liberalnej kiedy to jednostka była punktem wyjścia i dojścia. Problem społeczny skupiał się na proteście przeciw znieważaniu godności ludzkiej osoby niższej stanem, ponieważ odkryto, jak to typowo określił znany sentymentalista rosyjski I poł. XIX w. Karamzin, że „i chłop umie czuć”. I stąd w przeróżnych „Biednych Lizach” i „Halkach” bez końca powtarzamy motyw uwiedzenia przez panica lub użycia wobec chłopca przemocy fizycznej. Siłę ciężania problemu wzmacnia się nieodłączną melodramatycznością oraz tragicznym zakończeniem. Wątek drugi znalazł w literaturze polskiej typowy wyraz w popularnym melodramatycznym „Janku Muzykancie”.

Ta właśnie siła tradycji zaciążyła fatalnie na młodym Goździkiewiczu, czyniąc nieuczynnym obserwatora — realnie na zjawiska **znamiennie** (co jest właśnie podstawowym warunkiem realizmu), jakie rzeczywistość musiała na każdym kroku roztaczać przed oczyma młodego nauczyciela wiejskiego: Ta siła nakazywała właśnie wybierać na tworzywo artystyczne zawiśka wyjątkowe, dyktowane przez anomalie psychiczne, z których pierwsze (uwiedzenie) jest anomalią ponadwarstwową i ponadczasową, a drugie

(bezkarne pobicie) było wprawdzie typowe, lecz w czasach pańszczyzny, w epoce „Żeńców” Szymonowicza i „Popiołów”.

Dlatego też obie nowele wyszłyżgają się spod rygoru problematyki społecznej, stają się — wysoce artystycznym — udratyzowaniem szczegółu **kroniki kryminalnej**.

Na tym polega omyłka Goździkiewicza. Wiśś i dwór w latach pisania „Wyżynki” szamotały się nie na wąskiej przestrzeni „osowiałego trawnika”, na którym pijany rządcą „szukał rąbka” jęczynowej spódnicy, lecz zwierały się jako dwie równoważne siły w walce o byt, pchane logiką procesów społecznych i ekonomicznych. Ta walka wrzała na trybunach sejmowych, gdzie interpelowano w sprawie reformy rolnej, zakłócała ciszę gabinetów ministerialnych, gdzie ustawa szła pod sukno, dawała znać o sobie po chałupach w czasie długich wieczorów rodzinnych, odczuwało się ją na zebraniach organizacji wiejskich, „grzmiała nią ambona”, „dyszały konfesjonały”.*)

O reformie rolnej wspominał Goździkiewicz tylko raz w scenie, której przesada świadczy o ówczesnej niedojrzałości świetnego prozaika.

POKIWALI MAATUŚ GŁOWA...

Pomiędzy nowelami dworskimi a trójką końcową którą pozwole sobie objąć wspólnym tytułem: „Ręka gromady”, leży uwikłane w gąszcz zbytecznych pozycji opowiadanie: „Najstarszy z rodziny”. Zostało napisane w r. 1928, na pięć lat przed wyjściem powieści, która ukazała całą Polskę jedno z dwóch rozgałęzień tragicznego epilogu omawianej noweli. Mam na myśli „Wierzbę nad Sekwaną” J. Wiktor. „Najstarszy z rodziny” zaczyna się sielankowym opisem odwiedzenia u Skocznych, zatrzymuje się na nim długo i odrywa z wyraźną niechęcią — do brotliwego spojrzem autora, niezrównanego w kreśleniu pogodnych obrazków z życia dzieci.

W nocy jednak dorastający Józek usłyszał niechęć fragment niewesołej rozmowy rodziców. Mówili o skrawku ziemi „takiej jak psi pazur”, że nie ma co do gęby wrzucić. Najlepiej byłoby, żeby Józek wyjechał do tej Francji. I na siebie zarobi, i im ulży, a przede nie zginie. Józek zrozumiał ciężką sytuację rodziców i po przeżyciu bolesnej rozterki zdecydował się na wyjazd. Wynurza się z odległych zakamarków pamięci wątek bajki ludowej o Jasiu i Małgosi a potem wiersz z „Godów” Konopnickiej:

„Pokiwali matuś głową,

Poplakali mało wiele,

Dali czapkę barankową,

Tatusiową kamizelę...

Idźże, Jasiu, w świat szeroki...”

Przypomnienie to nie jest jednak wynikiem bezwolnego unoszenia się na fali tradycji literackiej. Powoduje ją podobny mimo upływu czasu 60 lat stan ekonomiczny wsi z tymi samymi możliwościami obronnymi, a właściwie brakiem ich na skutek anachronistycznej struktury bytowania izolowanych,

*) Młode pokolenie Chłopów — J. Chałasińskiego — Warszawa 1938 t. II str. 225.

Leonard Sobierajski

Środowisko

Autor „Wyżynki” wyszedł z podsieradzkiej wsi. Powiat sieradzki to zaiste charakterystyczny swoją typowością wyznacznik Polski. Gdybyśmy z góry nań spojrzeli, zobaczylibyśmy krajinę rolniczą, pozbawioną prawie całkowicie unerwienia gospodarczego. Czystość zielonych szachownic burzy tu tylko najdalszy przyczółek łódzkiego okręgu przemysłowego, wrzynając się kominami Zdunskiej-Woli w siolowy krajobraz. Poza nim nic nie mać błękitu nakrywającego hermetyczną kopułę tę zasnęłą jakby ziemię. Widny z dala komin sieradzkiej gorzelni jest rozpaczliwie samotny, monotony pomruk młynów przydaje miasteczku atmosferę jakiejś tylko zbożowej, roślinnej wegetacyjności. Do ostatnich chwil Sieradz robił wrażenie miasta zapóźnionego, miasta, które uparcie trwa na marginesie ambicji gospodarczych, spoglądającemu z boku wydawało się, że zakrzepł w tradycyjnym kształcie.

Powiat sieradzki usiany był dworami. Pańskie siedziby nadawały ton całemu rejonowi. Wielkie obszary dworskie produkowały zboże, kartofle, oddając młynom i gorzelniom swój surowiec. Dochody z tych majątków nie szły na żadne inwestycje przemysłowe, powiatu nie bogacono, nie otwierano przed nim nowych możliwości gospodarczych, jedyną inwestycją były kamienie w stółnicy.

Drobne gospodarki chłopskie usychały nie znajdując w zaspianym środowisku małych miasteczek (Burzenin, Złoczów, Warta Szadek) rynku zbytu na produkty, gospodarci te, prowadząc uprawy na „lekkich” żytnio-kartoflanych ziemiach, nie znajdując żadnych bodźców gospodarczych dla jakichś upraw specjalnych czy hodowli, produkowały tylko dla siebie, coś nie coś oddając na małomiasteczkowe rynki.

Dąbrowa, rodzinna wieś Goździkiewicza, jest jakby wyciętna na peryferii powiatu, odsunięta od głównej arterii (szosa — Łódź

złanych wyłącznie na siebie gospodarek rodzinnych. Przy tej strukturze — gospodarstwa karłowate skazane były na wegetację. Stąd wielorazowe falujące liczby ukrytego bezrobocia i tragiczny exodus polskich rolników w czasach dżalainości pisarskiej autorów „Pana Balcera” i „Za chlebem” na Zachodnią półkulę, a w latach gdy Goździkiewicz pisał „Wyżynkę” do Francji i Niemiec.

Spojrzenie autora posiada już znaczną wnikliwość i rozpiętość. W wydarzeniu w rodzinie Skocznych Goździkiewicz widzi nie efektywny temat nowelistyczny, lecz **fakt społeczny** o zasięgu dalszych niż kopiec graniczny trzymorgowej gospodarki.

„A gdzie to masz lepiej — rozprawiają rodzice — gdzie? i na Kapinkach, na Budzicznej i Sokołów cały, na Dębnie, wszędzie ludzie na tych zagonach siedzą i jakoś biedę klepią... nikomu się nie przelewa. Zaradzisz to co? bieda i tyle... pożyczyci by było i inni pożyczają i stać ich na to... — i mają więcej bo zarabia...”

Wiśś widziana oczyma Goździkiewicza przypomina jakąś wyspę odludną i oddaloną od szlaków morskich. Znajdują się na niej rozbitkowie, ale rozbitkowie zgola dziwni: obserwują się z pod oka, żyją każdy na własną rękę.

Uchwycił tu Goździkiewicz punkt najwyższy dramatu, jakim jest życie przeciętnej wsi. Od tego miejsca jest już tylko możliwe albo zejście ku katastrofie, albo podwanie się w nagłym wysiłku, jaki podobno czyni organizm w śmiertelnym niebezpieczeństwie na wyżynie.

RĘKA GROMADY

Założono we wsi spółdzielnię. Nowiuteński sklep cieszy oczy niepokalaną czystą wagą. Cóż stąd, kiedy pierwszy klient — ośmioletnia dziewczynka nie dostała w nim śledzi. Nowoobрани prezes odczuwa wyrzuty sumienia, wyjeżdża w noc, w siarczysty mróz do odległej składowi, aby po wielogodzinnej mordędze przywieść zapotrzebowany towar — oto treść noweli „Śledzie” — jednej z najlepszych pozycji w dorobku Goździkiewicza: zwartej, odznaczającej się subtelnym rysunkiem psychologicznym i świeżością wyrazu. Bohaterem „Gorącego dnia” jest skarbnik, który przezwyciężył pokusę „wypożyczenia” sobie z kasy spółdzielni 8 złotych na koszt wycieczki dziecka.

W noweli „Ręka gromady” spółdzielnia mleczarska wynajmuje połowę chałupy należącej do chłopca — ambita, co żył na osobniaku. Budynek stał niedokończony — z winy kryzysu i złych zbiorów. Zarząd spółdzielni ofiarowuje Grzesiakowi komorne o 100 proc. wyższe, niż taksa, ażeby w ten sposób umożliwić mu zakończenie budowy. Nie przyszła ta decyzja łatwo: musiano w sobie przełamać — zazdrość sąsiedzka, i ościężałość decyzji.

Goździkiewicz pokazuje wieś nową (nowela pisana w latach 1935 — 37) kształtującą się dopiero. Tradycyjne wzorce do tej wsi nie przywierają. Równie nie pasuje Sienkiewiczowa wieś Barania Głowa, co Fa-

leniec Dolny, który opuszczał kiedyś Andrzej Radek, aby z chłopskim uporem sięgnąć po indywidualny awans społeczny. Nadpłotkowo rozumował w Faleńcu jedynie zaplątany weń przypadkiem obcy przybysz, chory na gruźlicę inteligent, nauczyciel dworski.

Inna rzecz, że ta samodzielność, a także zbyt uczciwe teraz pozostawanie w granicach typowości: występowanie się wszyskiego, co w żargonie literackim nazywa się „krzykiem” znacznie osłabiają siłę fikcji artystycznej i dlatego najbardziej rozbudowana ideowo „Ręka gromady” stoi już na pograniczu nudy.

Goździkiewicz stara się uchwycić zasadnicze przemiany w życiu wsi. Chociaż treściowo obie nowele związane są z ruchem społecznym nie wydobywa go autor nigdzie na pierwszy plan. Dla autora „Wyżynki” ważna jest **nie tyle instytucja**, która posiadała zbyt krótkie ręce, by przebudować życie ekonomiczne kraju, co fakt, że za jej pośrednictwem kształtują się **nowe cechy psychiczne**, potrzebne do wyjścia z impasu warstwy chłopskiej. W każdym bohaterze nastąpiło jakieś drgnięcie duchowe, nieauważalny przełom, po którym dusza wzbogaciła się o nowe wartości, świadomość życia wewnątrz zbiorowości, poczucie odpowiedzialności wobec grupy, podporządkowanie interesu własnego — ogólnemu („Śledzie” i „Gorący dzień”) nadwrot grupą poczuła się powołana do opieki nad jednostką („Ręka gromady”). Tak z jednej jak i z drugiej strony nie jest to jakiś franciszkański idealizm, ale świeżo rozbudowana chłopska świadomość, że w ten sposób łatwiej jest wędrować z „Wyżynki” na wyżynę.

* * *

Recz w tym, że prozaik stał przed faktami, które wiele mówią dla polityka, czy historyka socjologa lub ekonomisty, i Goździkiewicza nawet one poruszyły. Ale zrozumienie współczesnej rzeczywistości wiejskiej i odsłonięcie tego, co ona oznacza, udało mu się w tych tradycjach pojęciowych i artystycznych które najmgliściej mogły sprostać zadaniu. A te tradycje — że raz je jeszcze przypomnimy — to:

1) Literacka — dramat „Halki” i „Janka Muzykanta”; pojęciowa — filantropijno-moralistyczne dbanie o godność jednostki z niższych warstw tak właściwe dla tej inteligencji, jaką krytykuje w „Rodowodzie społecznym inteligencji polskiej” J. Chałasiński.

2) Literacka — bajka o wygnanym z domu Jasiu, wznowiona przez Konopnicką na materiale wychodźstwa chłopskiego u schyłku w XIX; pojęciowa — to samo filantropijne czułość się nad ciężką dolą chłopca-człowieka, bez szukania dalszych przyczyn społeczno-ekonomicznych i konsekwencji ustrojowych.

3) Literacka — „kochajmy się bracia”, jaką u Fredry znamy z „Zemsty” („Zgoda, zgoda a Bóg wtedy rękę poda”), jaką Prus odnawia w „Placówce”, kiedy pogorzelcowi Ślimakowi sąsiedzi znoszą co się da, pod przewodnictwem księdza.

Z konwencji tej nie wyłamuje się i spółdzielnia Goździkiewicza. Wpisany w nią jest nie projekt nowego ustroju społecznego, ale projekt idealnej moralności zbiorowej, która nie wie i nie bardzo chce wiedzieć o ustrojach.

Pojęciowo Goździkiewicz obraca się w kategoriach myślenia inteligenta uwrażliwionego społecznie w stylu bohaterów Żeromskiego.

W wyniku pisarza rejestruje jakoś zaszle zmiany na wsi polskiej po roku 1930, ale to co zauważa pozostaje pod jego piórem niejasne, niedomówione i nierozstrzygające: pozostaje bowiem wrażenie, że wieś dąży do społecznego skupienia się, do uzależnienia jednostki od grupy i dbania o jednostkę jako członka grupy. A taki obraz mógłby mieć miejsce na wsi polskiej d przed 50-ciu laty i przed 100-tu. W dużym stopniu pozostał dla Goździkiewicza nieznany **mechanizm historii** lat międzywojennych, sił społecznych i struktury ekonomicznej, jaki wówczas uspołecznienie się wsi wytwarzało i treści tego uspołeczniania.

Goździkiewiczowi — pisarzowi nie przyszedł w pomoc ani Goździkiewicz — działacz polityczny tak, jak to było w pisarstwie Andrzeja Struga, czy Władysława Kowalskiego, ani również Goździkiewicz — badacz, socjolog i ekonomista. W realistycznej prozie, biorącej za przedmiot obrazki z życia określonego środowiska, wiedza działacza i naukowca nie zastąpi wprawdzie talentu, ale jej brak zmniejsza wartość talentu. A kto wie czy nie są one pewną (i napewno wyższą) formą talentu, warunkiem jego „wyrażalności”.

W OSTATNIM 23 (102) NUMERZE

„WSI” z dnia 8 czerwca 1947 roku
Ksawery Piwocki — Rola sztuki ludowej w dzisiejszej kulturze; Helena Brodowska — Drogi inteligencji polskiej; Jan Marszałek — Nutki nabożne; Stanisław Paleczny — Pasteczka; Józef Pogan — Żywot „pożytecznego” dla wsi; Adolf Kotarba — Przez czarne okulary; Leonard Sobierajski — Zielona ojczyzna; Henryk Syska — Idą chłopcy do świata; Piotr Chmura — W górach i na roli; Hieronim Konikowski — Jubileusz prof. Heleny Radlińskiej; K. Borzęcki — Czy „nowa postawa” jest całkowicie słuszną?; Paweł Kułbisz — Znam tylko jeden śląsk (fragmenty utworu dramatycznego p. t. „Legenda wydziedziczonych”); Lech Budrecki — Z okien folwarku; Józef Kapuściński — Struktura jednego powiatu; Stanisław Witowski — W dostatku; „Kto jest chłopem”; 4 ilustracje, komunikaty, 8 stron.

*) Teodor Goździkiewicz „Wyżynka” — Księgarnia Łowicka — Nauczycielska Spółdzielnia z odpowiednimi udziałami — 1946.

Władysław Dunarowski

KUKUŁKA I SZPAKI^{*)}

Fragment

— Babko, byliście wy kiedy na samym szczycie Mogielnicy?

— Coś ci ta strzeliło do głowy? Należę wody do żeleźniaka, bo pryska. Jaką ty masz tę głowę? Ze szkoły wnet wyjdiesz, a nie nie znać po tobie... Pod sprawością, że nie. Na Mogielnicy czym była? Możem ta i była. Nie pamiętam.

Stuknęła mocniej krosnami. Bo nieprawa z tym niepamiętaniem. Tak się jej tylko powiedziało. Dosyć się nalatała po Mogielnicy i sąsiednich górach, gdy Feliks tam pasał przez lato. Latała na grzyby, na jagody, jedzenie nosiła braciom, którzy tam drzewo rąbali — a zawsze tak się jakoś składało, że z Feliksem się uwidziała. Od tego do tego, aż zanieśli na zapowiedzi. Potem działa się wszystko zwyczajnie. Zaczęli gazdować i we dwójkę pchać swą dolę. Tylko że nie bardzo było na czym gazdować. Więc po roku wyjechał Feliks do Ameryki, gdzie spędził sporo lat w huku i jazgocie jakiejś stalowni. Wrócił głuchy z dużymi ranami na nodze, które stale się odnawiały, ale dolarów coś przywiózł i grunt dla dorastającej córki kupił. Gdyby był piśmienny, przywiózłby tych dolarów znacznie więcej. Cóż miał począć, że trafił na kolegów, którzy go wykorzystywali w bezlitosny sposób. Każde przeczytanie listu z kraju, napisanie od siebie, musiał opłacać gestymi pocztówkami. Jak było się bronić? Więc potem podwójnie harował, podwójnie oszczędzał, bo grunt do kupna miał upatrzony.

Po kilku latach znów trzeba było wyjechać za morze, do tej samej stalowni, bo dzieci się skądś nabrało, więc dla nich o gruncie też trzeba było pomyśleć. Póki sił starczy. Póki człowiek trzyma się jako tako. Gdy wrócił trzecim razem, był już dziadkiem — a babka — babką. Na Mogielnicę rzadko które spozierało, choć sterczała ku niebu przed ich oknami.

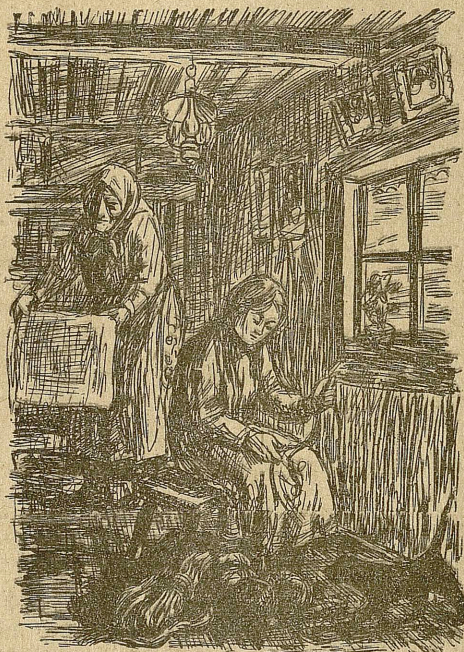
Za to Hanusia noskiem rozgrzała szybę i spoglądała w tamtą stronę, ku Mogielnicy, gdzie w jednym ze stu parowów jest jej dom. w którym matka także tka płótno, a siostra robi swetry na zarobek. Gdzie brat Jasiak... No co do Jasika nie jest pewna, czym jest zajęty. Może szewcuje... Tak mało go pamięta. Przez całą wojnę tylko z partyzantami trzymał, w domu nie usiedziało ani chwili, to też nie dziwnego, że Hanka zaczęła go uważać za obcego. Dziś las pusty i cichy. Jasiak pewnie w domu siedzi, ale Hanka poszła do babki, aby być jej wyką, i nie wie, co się tam dzieje.

*) Fragment noweli „Kukułka i szpaki”, jest wyjęty z tomiku II Biblioteki Popularnej Tygodnika „Wieś” p.t. „Zachodni wiatr”.

O ojcu wspomniała sobie na samym końcu. Bo to najsmutniejsze. To przecież tak niedawno było. Ktoś doniósł, że Niemcy robią oblężenie za partyzantami. Ze z dwóch stron otoczą Mogielnicę. Widać niemieckie szpicle wywęszyły, bo nie sposób, żeby swój zdradził.

Więc Andrzej pośpiesznie usuwa z obęsca to wszystko, co mogłoby go zgubić. Zapasy żywności, broń, koce... Dużo tego. Samych granatów wór ciężki. Ach, te granaty!

Wieczorem wpełzł do chaty na czworakach poszarpany ludzki łachman z wypłniętym okiem, z urwaną stopą i tysiącem mniejszych ran, silnie brocząc krwią. To był Andrzej. A Hanka nie poznała swego ojca.



rys. St. Cieloch

Teraz Andrzej jeszcze bardziej musiał się kryć, dopóki nie pozdrowiał mała. Bo potem już nie potrzebował się bać niczego: ani szpiclów, ani obław, ani łapanek na roboty, ani wszystkich szwabów razem. Niczego. Tak, niczego się nie lęka, ale i nie go już nie cieszy. Ożywił się nieco na wiadomość o zupełnej klęsce Niemiec i pokoju, lecz nie na długo. Bo potem przyszła jeszcze większa apatia. Czasem dla rozweselenia zakuszył aż do babki. Trza się przecież czasami przewiedzieć, jak się tam jego Hanka sprawuje.

Leż babka wnuczkę chwali, a jego zasypuje pretensjami. Bo czy potrzebne to było? Sam zdrowie stracił, dzieci nie odchowal, a i gospodarka skąpieje do ena.

Andrzej milczy. Cóż tam babce tłumaczyć, co było potrzebne, a co nie? Deklamować o Polsce, Ojczyźnie, poświęceniu, nie umiał. A dlaczego brał udział w tym wszystkim, co się potajemnie tu działo, a czego najlepszym świadkiem była Mogielnica, tego zdefiniować nie potrafiłby ani wtedy, ani dziś. Było coś takiego w powietrzu, w ziemi, w sercu i w każdym oddechu ludzkim, co nakazywało niszczyć Niemców na każdym miejscu, wszędzie. On się temu głosowi nie sprzeciwiał. A że przy tym siebie tak nadwyreżył... A no przez własną nieostrożność najwięcej. Chociaż w tym pośpiechu... No, dobrze że się tak skończyło. Mogło być dużo gorzej. Ile ich tam leży na Mogielnicy, to tylko on coś o tym wie. Nacięte krzyżyki na starzych pniach i inne znaki wskażą drogę do tych, po których ślad już rozplynął się w wirze wielkich wydarzeń.

Babkę trochę wzruszył wygląd Andrzeja, jego smutek w pozostałym oku, ale mimo to marudzi.

— Widzisz, żebyś był jak inni, tobyś tu nie styreł na tej jałowiźnie, ale byś pojechał z innymi na owe grunta, jakie dają na Zachodzie. Nie, wierzyć się nie chce, żeby to była prawda. Bo jakże? Całe grunta, budynki i wszystko? Mocny Boże! Mój stary trzy razy się włókł do Ameryki, zdrowie stracił i ledwie tych paręnaście morgów dokupił, a dziś bez niczego... Całkiem się mi w głowie miesza, jak myślę o tym. Jemu dochodzi dziewięćdziesiąt, mnie idzie na siedemdziesiąt ósmy rok, a z tego razem byliśmy ledwie parę lat. Bo czasu, jak wrócił trzecim razem, już nie rachuję.

Andrzej roześmiał się, babka syknęła ze złości. Potem jeszcze dodała:

— Z ciebie, kiej cie tak oporządzili, też baba pociechy mieć nie będzie. Widzi mi się, że ty a mój stary — nie wielka różnica?

Właśnie dziadek wszedł cichutko do izby, a zobaczywszy Andrzeja, ucieszył się serdecznie.

— Dobrze, żeś przyszedł. Zwichnąłem se rękę, a nie mam nikogo, żeby mi trochę naciągnął. Jak cię proszę... ino mocno pociągnij!

Babkę denerwuje to ciągle gadanie o zwichnięciu ręki. Gdzieżby zwichnięcie powtarzało się co parę dni.

— Nie bądźże, Jedrus, cudokiem i starego nie słuchaj. Zwyczajny rymatys przywiózł z tej Ameryki, a plecie wciąż o zwichnięciu. Powtarzam mu nieraz i mówię do rozumu, ale on swoje i swoje. Kto ino się nabliży, każdego molestuje, żeby mu rękę naciągnął.

— Mojeśty, nie słuchaj jej, bo ona nie wie. W nocym se zwichnął i dobrze pamiętam, kiej to było. Jeszcze mocniej pociągnij, jeszcze... o! No, może mi nałży. Bożeś ci zaplać.

Staremu zdaje się, że ów nowy ból przysłoni tamten; a gdy ustanie — to niezawodnie razem ustana. Z tej radości gotów opowiedzieć coś ze swych przeżyć w Ameryce. Dowiaduje się jednak, że większe nowiny przynosi Andrzej. Bo ani razu nikt nie gadał, że Jasiak ma zamiar jechać na grunta. Inni jeździli na przepatry, wracali, znów odjeżdżali, ale Jasiak siedział i nigdzie się nie ruszał.

— Kawalerom przecież nie dają gospodarstw — wtrąca się babka.

— Przecież jest w latach, to nie trudno zaradzić temu, żeby nie był kawalerem. Transport odjeżdża za tydzień, w tym czasie dużo można zrobić. Książd nie robi trudności, to reszta też pójdzie gładko.

Znowu dużo dopytywania, z kim się Jasiak żeni, co bierze, kiedy wesele. Andrzej jest w kłopotcie, bo właściwie to nie wie, z kim się syn żeni. Więc zastania się dyplomatycznymi nieudolnieniami, że to niby jeszcze nieugodzone, że niewiadomo.

Po prawdzie to jego mało przejmują całe wesele. Dawniej było co innego; od tego kroku zależał cały los. To też dokładnie badano, czy te jej morgi warte są uprawy, czy z nich wyżyje, pilnowano każdej porze przy zapisach. Dziś to nieważne. Jasiak dostanie grunt z budynkami, więc niech się żeni, z kim chce. Byle dziewczyna była robotna, bo tam na tyłim gospodarstwie lenić się nie można.

— Święta prawda, robotna musi być — przytwardzają oboje. A nie wiesz, daleko to stąd?

— Nie bardzo. Od Krakowa jeszcze drugie tyle.

Więc uznali wszyscy, że istotnie niedaleko. Nie żadna ukraińska. Nawet przez morze nie trza jechać. Swoją kraj.

Babka ciężko westchnęła i spojrzała na starego. A potem rażno zabrała się do krosien.

Bronisław Kamiński

Z poematu „Paweł Wójcik”
VII

Co niedziela cała wieś była w kościele — bogatsi w butach a biedni boso, pan dziedzic z gajowym na czele i Pan Bóg w niebiosach.

Potem siedział wójt i bogatsi gospodarze, kobiety ubrane w kiecki pstrokate, na końcu trochę nędzarskich marzeń i Paweł odziany w latę.

Mały kościół zakwitał dzwonem na wieży i rozbrzmiewał chłopskim śpiewaniem, a Chrystus męki nie przeżył i umarł przed świtaniem.

Władysław Milczarek

Syn Cieśli

Wiejski poemat o Bogu (fragment)

Stary cieśla wioskowy
ot zwyczajny samouk
wyciał bóstwo pokraczne
w białym kłocu lipowym.

A że Boga nie widział,
z książek też się nie uczył,
więc te świętości wystrugał
z swoim chłopskim obliczem.

Rozkrzyżował mu ręce
spracowane, zylaste;
nie gniewała się Boże,
boście ze wsi nie z miasta

A gdy świątka przybijał
na dębowym, na krzyżu,
spomniał sobie w dzieciństwie
zasłyszane pacierze.

Jeno cieśla się smucił
i miał w wargach pacierze:
przebac, przebac im Boże,
bo nie wiedzą co czynią.

— Widzę, że strasznie pilnujecie roboty. A przecież wam nie nowala.

— Co ty mówisz. Wiosna już, już, a kiej pokonczę wszystko?

— Po co żeście tyle naprzyjmowali?

— Ano widzisz... ten prosil, ten prosil. Zreść jużbym miała gotowe, żeby baby lepiej przędły. Ale że nieci wciąż się rwia...

— Mówicie: nieci się rwa... Za to wiosna u was lada dzień. U nas jeszcze śnieg, zaspę miejscami na chłopa.

— Tak jeszcze u was? Nie dziwota. Mogielnica zastania, duży cień... Ale jak ruszy, to ruszy.

Wreszcie ruszyła. Od paru dni wiosna. Więc wszystkie kłopoty maleją i nikną. Babka nie narzeka, a Hanka wełny nie skubie. Radosna zmiana. Pochylone nad warsztatem plecy babki grzeją się przy wiosennym słońcu. Bury kot bawi się na podłodze nitką z ostatniego motka.

A potem tysiące spraw innych. Warsztat tkacki idzie na strych, a babka gałęzią choiny omiata ściany z kurzu. Potem obmywa obrazy, wyciera stary zegar z kukułką. Przy tym musiała nacisnąć jakąś sprężynę, bo ptaszek wyskoczył, nawet kiwnął się parę razy, ale głosu wydobyć nie mógł. Kobięcina wielce to rozrzewniło.

— Widzisz go! Co on se myśli? Myślałam, że już całkiem zepsuty... Ty, stary, kiedyś ty go przywiózł z Ameryki — za pierwszym czy drugim razem? Pewnie nie pamiętasz...

Dziadek nie nie odpowiedział dlatego, że nie słyszał, co do niego mówiono. Dziś rękę sobie dziwnym trafem nie zwichnął, ale za to ogłuchł jeszcze bardziej. To też ciężko się z nim dogadać. Dłubie coś przy oknie, próbuje otworzyć. Do izby wpada zapach gór i wiosny.

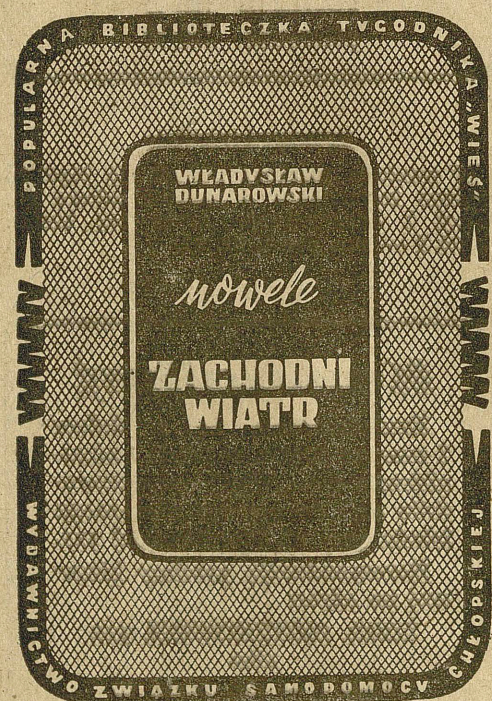
Babkę jakby oczarował ten dzień. Kręci się, biega, wszędzie ją słyszać, choć wcale nie jest zła. Po prostu króluje.

— Hanus, kraj ziemniaki do sadzenia. Dziadek, ruszaj do kuźni. Zawczasu trzeba naostrzyć brony i plug. Uwijajcie się! Wiosna!

Hanka jakby nie słyszała. Babka o tym, a ona o czym innym.

— Babko, już bażki złoć się na olszynach. Widzieliście? Babko, szpaki na gruszy za stodołą się ścila...

Babka choiną odpada ją do roboty. Sama też wzięła się do krajania. Do koszuw spadają połówki, światki — byle z oczkiem. Bo właśnie w tym oczku kryje się cała tajemnica życia. Z kuźni zalatuje metaliczny dźwięk żelaza. Cała wieś tętni przedziwnym rytmem wiosny.



W ramach „POPULARNEJ BIBLIOTECZKI TYGODNIKA „WIEŚ” ukazały się już dwa tomiki nowel:

1) Józefa Pogana

„DEKRET NIEBIESKI”. „BIEDNY I BOGATY” cena 20.— zł

2) Władysława Dunarowskiego

„ZACHODNI WIATR” cena 40.— zł

Oba tomiki zamawiać można w Administracji tyg. „Wieś” — Łódź, Piotrkowska 133, wpłacając należność do kasy Administracji lub przekazem pocztowym na konto:

Łódź VII — 1080

Piotr Chmura

Majowa litania

Głos pierwszy: Będzie nieurodzaj latoś. U nas w lubelskim ozimina wymarzała w niektórych powiatach w 60%. Od wiosny posucha do reszty wyniszczy zboże.

Głos drugi: Ziarno poszło w górę. W tamtym roku 800 zł. — metr, teraz 300 zł. a u nas w Warszawskim dochodziło w maju nawet 6.500 zł.

Głos trzeci: Bój się Boga! To u nas w polskim nie przekroczyła cena na żadnym jarmarku 2.600 zł.

Głos czwarty: Ale nie zaprzeczajcie, że od was na inne województwa rozwoją spekulanci. A do Niemiec nie poszło od was za 5 milionów zł. masło? Kto sprzedawał szmuglerom i podbijaczom cen, nie wiedział dokąd to idzie?

Głos pierwszy: Od nas z lubelskiego, mało, że nieurodzaj a sporo zboża popłynęło za Bug po 11, nawet 15.000 zł. Bandy ukraińskie mają lepszy od nas wch. Zaopatrują się za pieniądze z sobaczych źródeł nadsyłane. Jaka u nas jest chłopska dyscyplina gospodarcza? Wypychamy z kraju zboże. To co będzie? Rząd zakupi zagranicą zboże, a za co? — Za towary przemysłowe. Zamiast na wieś pójść precz z kraju. Za pozostałe, w zmniejszonej ilości, będziemy płacić drożej. I kto kupi — ten co na kontrabandę się puścił. Ze wsi bogaty chłop drogo sprzedaje zboże, drogo kupi towary. A biedny?

Głos drugi: A wiecie, u nas wojewoda-chłop, tak zrobił. Podatek gruntowy dośrubował. A wykup zboża i kartofli przekazał tylko spółdzielniom i uspołecznionym punktom zbiorczym. Są rezultaty, przez pół maja cena za metr spadła do 3 tys. zł.

Głos piąty: To macie rację. Bo jak dotąd „społem” panuje nad rynkiem zbożowym tylko 20%, 70% jest w rękach prywatnych kupców. A ci wyprawiają cuda. Sieją panikę. Mobilizują ludzi do robienia zapasów. Jedni gromadzą w nadmiarze, drugim brakuje i biją ich mądro rosnące ceny. Ho, ho, spekulanci są pierwszymi od zapasów. Prawda jest, że ceny towarów przemysłowych i państwowych bardzo się podniosły z wiosną. Spekulantom w to graj. Chcą stworzyć wrażenie inflacji. Na podniesionych cenach przemysłowych podnoszą cenę zboża. Przepłacają licząc na nieurodzaj. Toczy się walka o to w czyich rękach będzie zboże. Jeśli w ich, to państwo i wszyscy lepiej sytuowani wykupują będą po cenach paskarskich wolnego rynku. Państwo będzie chciało zaopatrzyć załogi fabryk i biedotę wiejską. Wielkie zdzierze sumy przewyższają jednak możliwości funduszu państwa. O to właśnie idzie tym siłom, które zagrały teraz na dywersji gospodarczej i podsycają ambicję rynku klasy spekulantów, dając jej jakoby patriotyczne zadanie do spełnienia. Uderza się zatem albo w budżet państwa, żeby się załamał, albo w robotników i biednych chłopów, żeby zagrożeni widmem głodu odruchowo powstał przeciw nowemu porządkowi.

Głos szósty: Ale trzeba też chłopów zrozumieć. Skoro ceny za towary przemysłowe podniosły się, to ludzie na wsi „odeczekują” ze zbożem. Wiecie też trzeba będzie wziąć za ziarno, aby skalkulować równo z artykułami przemysłowymi?

Głos siódmy: A ja wam powiem jeszcze jedną przyczynę. Nie ma na cały rok wyraźnego rozłożonego planu wymiany co kiedy i ile przyjdzie od przemysłu. To chłopci tak: wziąć tego, co najpierw dają, większą ilość albo może wcale nie wziąć i poczekać na te rzeczy, które im się widzą szczególnie pilne. I w ten sposób zapas zboża jest dawkowany w wymiarze i w rezultacie odkładany do zbytu.

Głos ósmy: Ja jeszcze jedną widzę przyczynę: Zapomnieliście, że w nowej Polsce chłop uwolniony został od przedwojennego zadłużenia bankowo-hipotecznego. A to był co roczny bież na sprzedaż zboża na pniu. Tylko bogatsi mieli jeszcze zapasy do jesieni. Teraz tego musu nagłego nie ma. Stąd zator w wymianie, w wysprzedaży. Podatek gruntowy przysrubowany wypchnie zboże na rynek. Tylko, żeby bogaty chłop się nie wykupił łapówką, bo na biednym się skrupi. Komisje powinny być z najuboższych.

Głos piąty: Otóż to. My nie rozumiemy, co to znaczy „życie gospodarcze”. Ono nie może mieć przerwy i nagromadzeń. Towar i pieniądź winny chodzić od producenta do konsumenta. Podatki są w większości nasze, idą na samorząd i najczęściej wyżej nie wychodzą, jak do województwa. To nasz terytorialny kapitał inwestycyjny. Wypchnięcie zboża w dużych nowoczesnych dawkach daje nam kapitał w obrót gospodarki samorządowej, czyni jej budżet realny a plany w kolejności rzeczy wykonalne. Kiedy się ten porządek podatkowy, a na rynku konsumpcyjnym — zbożowy, zahamuje, wszystko diabli biorą: gospodarka nasza i kraju całego ponosi straty na rzecz tych łowców w mętnej wodzie, którzy tylko na te zatory czekają i sami je robią paniką stwarzając i potęgując. Dam wam przykład na naszych artykułach rolniczych. Tytoń. Czy wiecie, że koszt produkcji u chłopów, jego opłacenie, zwózka i przerób równa się w sumie 6 miliardów złotych? A ile myślicie wynosi suma zł. za rozsprzedanie tytoń? — 12 miliardów. Dwa razy więcej. Kto to zagarnął? Ani państwo, ani chłop. Oni... Cukier. Chłopi producenci wyciągnęli 6 miliardów, 2 miliardy (1/3) pośrednicy. Krótko mówiąc, ażeby od przykładów nie odejść, pół Warszawy trzusi się handlem. Z tym żerowaniem trzeba skończyć. Za mało bowiem jest produkujących, za dużo żyjących z przeniesienia towaru od pra-

cującego w pocie czoła chłopu do umęczonego robotnika.

Głos trzeci: Ja was słucham i myślę sobie: no dobrze, a jak nie jechać w górę z cenami na nasze zboże, kiedy towary przemysłowe drogie?

Głos pierwszy: To ja wam powiem. Ja mam w pamięci nasz nieurodzaj lubelski. I długo nad tym myślałem. Brak zboża to nie tylko nieszczęście dla miasta, dla chłopów również. Popatrzcie, jak jest z hodowlą. Pięknie się rozwinięła, w niektórych województwach większa dziś nawet, jak przed wojną. Ale co się nie dzieje, metr żywa nierogaczyni kosztuje obecnie dwa razy mniej, niż metr żyta. Co to znaczy? Sztuczni podbito zboże, przecie to zboże siedzi w ś. inach, ale świnia okazuje

się nie warta, a ziarno znaczy. Tym sposobem, rzeczywiście uderzy się w hodowlę, zniszczy się ją. Gdzie tu jest sens, gdzie planowa gospodarka? Co za skoki? Chleb droższy od mięsa? Komu na tym zależy? I kiedy o tym wszystkim myślę, dochodzę do jednego: Musimy się rozprawić ze spekulacją w pośrednictwie. Towary przemysłowe podniesioną mają cenę ale się zatrzymują na stałe. Gdzie szukać wyrównania dla naszych artykułów? W obniżce cen przemysłowych? Nie! One reprezentują sektor zorganizowany — wyznaczają zatem w połączeniu z polityką finansową, również planową — normy cen towarów. Ja wiem, że skoro towarów nie ma dość do nasycenia pełnego zapotrzebowania kraju, mierzniak ten jest wyso-

ki. Zniżyć go albo raczej dorównać mu to sprawa naszego wysiłku produkcyjnego w latach najbliższych i dalszych. Ale jest jeszcze jedno — ważne dla nas chłopów. My musimy dorobić niskosć naszych cen do marży spekulacyjnej. Będzie to podwójny zysk. Dla nas wszystkich: wyrównanie, normalizacja życia gospodarczego. Aby nie było takich dziwactw: że ziarno — to złoto, a wieprzowina to g....

Głos piąty: Ano odpowiedzieliście za mnie. Dodam tylko tyle, bo trza to wiedzieć. Produkcja naszego przemysłu w ub. roku przyniosła na 10% zysku na sumę 350 mil. złotych, a naszemu handlowi prywatnemu na sumę miliarda zł. W Łodzi finansieści prywatni gotowi są założyć hurtownię żelaza, dają zaliczki 5 mil. zł., za hurtownię tekstylną milion zł. Co wy na to? Jak nie zarobią 100, 200, a nieraz i 1000% to kapitałów nie ujawnią. Oto nowy obraz ujmowania życia gospodarczego. Albo nie inwestowanie go, albo zdzieranie — nas, chłopów i robotników. Bunt to my potrafimy zrobić. Rewolucję raz jużśmy zrobili i poprawić ją możemy, ale na kontrrewolucję złapać się nie damy!

Czy nie taka?

Z racji wydania 100-go numeru, odbyła się w lokalu redakcyjnym „Wsi” skromna uroczystość na którą przybyło kilkudziesięciu współpracowników terenowych z różnych stron Polski, aby pogwarzyć z sobą, już nie za pośrednictwem pisma, ale bezpośrednio.

Wznowiono szereg dyskusji, prowadzonych w ciągu poprzedniego i bieżącego roku, m. innymi także i dyskusję na temat: „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś”? Wzięli w niej udział prawie wszyscy ci, których wypowiedzi zamieszczała „Wiś” w ciągu ostatnich miesięcy.

A oto przebieg dyskusji:

MARIAN CIEŚLAK z Poznania:

„Znikają barwne stroje ludowe na korzyść modnej szarzyzny ubiorów miejskich, jedwabnych pończoch, kapeluszy i modnych sukien; coraz rzadziej tańczy się na wsi mazurki, kujawiaki i krakowiaki, zjawia się natomiast tango, fox-trott i Bóg wie co jeszcze, coraz rzadziej słyszy się gwara ludową, którą zastępuje ochydlony żargon z ulicy, znikają dawne piękne zwyczaje, zwycięża na całej linii prąd płynący z miasta, „cywilizacja” w najbrudniejszym tego słowa znaczeniu. Należy temu zapobiec. Należy chłopu... ukazać piękno tradycji i staropolskich obyczajów, ukazać piękno pracy na roli i wzbudzić w nim poczucie godności własnej i dumy z tego właśnie zajęcia, które przecież starożytni nazywali jedynym zajęciem godnym człowieka wolnego. Należy wreszcie otworzyć oczy na piękno wsi polskiej, na przemóżny a nie przemijający czar polskiej przyrody, która chłopu zewsząd otacza...”

Słowny byłbym raczej opowiedzieć się za powieścią zmyśloną. Jej fikcja tkwiłaby w samej koncepcji bohatera, w jego szlachetności, i siłę dalej tkwiłaby w optymistycznym poglądzie na świat i życie, tkwiłaby w interesującej i bogatej w wydarzenia treści, wreszcie w samym zasadniczym charakterze dzieła. Nie należy zapominać, że główną funkcją powieści jest przyniesienie czytelnikowi rozrywkę. A rozrywka polega na oderwaniu się od codziennej, szarej rzeczywistości. Winna więc książka przenosić w inny świat, lepszy od tego codziennego, piękniejszy i bardziej wartościowy.

A pozatym winna krzepić, dawać wiarę we własne siły i ufność w zwycięstwo dobra.”

STEFANIA GŁUSZCZAK z tarnowskiego:

To bardzo piękne co mówicie! „Powieść ta powinna opisywać przede wszystkim życie wsi tylko nie bardzo rozwekłe, bo by znudziła czytelników. Nie trzeba pominąć opisów przyrody, życia, nastrojów na wiosnę i w lecie, szczególnie takiego okresu, jak maj ze swoimi pięknymi wieczorami... Lecz nie ogólnie lecz szczegółowo, wreszcie to przeplatając niemi miłości, kochania się młodych serc. Akcja powinna być dosyć ciekawa, zagmatwana, ale grunt żeby skończyła się ładnie, osiągnięciem szczęścia przez bohaterów. Powieść ta powinna zawierać coś pouczającego, aby czytelnicy mogli odnieść z niej jakąś naukę jeszcze gólnie co do zemienia się...”

...Bohaterka tej powieści zamiast hrabiny, niech będzie skromna, biedna dziewczyna wiejska, albo jakiś Jaś (spojrzenie w stronę Red. Nacz. „Wsi”), czy Waluś, albo inny chłop wiejski. Akcja niech będzie trochę przez autora zmyślona, byle tylko nie przesadnie. Dwoje wiejskich ludzi kocha się wzajemnie. A więc zapoznanie, schadzki miłosne, przeszkody do zawarcia małżeństwa, sprzeciw rodziców, ktoś umyślnie szkodzi..., jakaś rywalizacja, zazdrość..., dziewczyna udaje pannę z miasta...”

JÓZEF SABURA z Gdyni (najwyraźniej wzburzony):

Dosyć tego gruchania! W powieści jaką sobie wyobrażam powinny być „miejscowe podania, legendy, zwyczaje... Wesele, chrzciny, pogrzeb, strój, tańce, gwara, śpiew, muzyka, takie momenty jak: orka, sianokosy, żniwa, kopanie ziemniaków, musi być wieś kwitnąca znojem, dojrziała latem i syta jesienią, wieś śpiąca zimą, budzona skrzypem studni, żyjąca w dzień pracą codzienną, spędzająca wieczór w izbie na opowieści, przedzeniu lnu, wełny, skubaniu pierza. Wieś stojąca się w odpuście do kościoła, idąca w kompanii na Kalwarię, do Częstochowy. Wieś mówiąca dźwiękiem dzwonów rezurekcyjnych i kołatkami wielkiego postu...”

FRANCISZEK PIĘTAK z Wielowsi k. Sandomierza:

„Jeśli idzie o książkę, to mam na myśli powieść przedstawiającą życie na wzór życia bohaterów: Franków Rakoczych, doktorów Judymów, czy Ślimaków — powieść która by wychowywała społecznie i twardo pokolenie, które ma przyjąć i żyć na tej mowej wsi...”

Pragnąłbym bardzo, by któryś z chłopskich pisarzy stworzył wielką, bohaterską epopeję chłopską, na wzór Sienkiewiczowskiej Trylogii... Chciałbym bardzo, by w tego rodzaju powieści bohaterem był partyzant, syn chłopu, w którym by się wszystkie zalety zeszyły: patriotyzm, walka o swoje prawa, żądania chłopskie, wreszcie bezwzględna walka z okupantem i miłość do swej wybranej na wzór Kmicica z „Potopu”.

GĘBALA STANISŁAW z Zabrze nad Sanem:

„Nie żałujcie drwiny z niedołęstwa, oburzenia na krzywdę i nie żałujcie hymnów dla odwagi i poświęcenia i ideowej wiary, ale nie twórzcie broszurowych mitów o tym, co działo się wczoraj, bo ta wczorajsza rzeczywistość znana jest chłopu dobrze, bo on ją sam w dużej mierze tworzył i swego chłopskiego czynu nie pozwoli nazwać cudem. Uwydatnijcie jak najwyraźniej etapy chłopskiego postępu ku pełnemu człowieczeństwu, wytyczcie pole drogi na przyszłość, a dzieła wasze iść będą z rąk do rąk, aż do zupełnego zdarcia i do nowych wydarzeń...”

WŁADYSŁAW GAŁAZKA z Bartoszewic (w stronę Mariana Cieślaka):

„Co do powieści zmyślonych, tośmy powinni raz na zawsze z nimi skończyć. Wiemy przecież, że to co jest zmyślone, nie zawsze jest wykonalne i dające się zrealizować. A więc skoro nie dające się zrealizować, pocóż komu niepotrzebnie zaprzętać głowę, kradnąc mu w ten sposób czas...”

LEOKADIA MARCINIAK z Gałkówek:

Chciałabym tu podać „zagadnienia z projektowanej powieści i opisy: 1) Charakterystyka wsi rozbudzonej, tworzącej, uspołecznionej, z kontrastowym uwypukleniem jednostek społecznych i zacofanych... Spółdzielnie na wsi, organizacja gospodarstwa, ośrodek zdrowia i t.p. Szkoła... prace samorządu gminnego i gromadzkiego, ich możliwości w ulepszeniu życia gromady, rola wójta... 2) Wysiłki młodzieży wiejskiej w osiąganiu wyższego wykształcenia. Ciężkie warunki codziennej komunikacji. Złe warunki materialne. 3) Wartość kultury ludowej i ścieranie się ich z wartościami kultury miast (cywilizacja), nieuchronnie ginący regionalizm... 4) Rola świetlicy na wsi. Jej promieniowanie kulturalne i cementowanie gromady. Metody pracy i samokształcenie, teatr ludowy, śpiew i muzyka. Możliwość współpracy nowoczesnej świetlicy z kościołem...”

STANISŁAW SARAMA z Łodzi:

„Bezwzględnie zareaguj chłop na powieść o nim samym. Najbardziej zacięciawo go historia rozwoju materialnego, kulturalnego czy politycznego wsi. Dajmy mu do ręki cykl powieści obrazujących rzeczywiste życie wsi w rozwoju dziejowym z uwzględnieniem wszystkich zmian i przeobrażeń, jakie przechodziła wieś od czasów najdawniejszych, do dni dzisiejszych. Dajmy poznać chłopu jaką siłę i potęgę posiada element wiejski w naszych warunkach... Wskażmy chłopu zdobywcę cywilizacji i nauki, nauczmy go korzystać z nich udowodnijmy mu, że kosztą np. przeprowadzenia linii elektrycznej do jego wsi, stokrót mu się z biegiem czasu opłaca. Pokażmy mu na przykładzie życia wsi nowoczesnej, korzystającej ze wszelkich zdobyczy techniki... Niech nasza wieś wyjdzie wreszcie ze swego przysiółkowego błota, spod historycznych słomianych strzech. Niech powieść będzie dla niej podreżnikiem udoskonalonej uprawy roli, hodowli bydła i drobiu, warzywnictwa, niech mu wskaże dobrodziejstwa, i korzyści wypływające z założenia w jego wsi — spółdzielni...”

Dyskusja potoczyłaby się zapewne dalej, gdyby nie poprosił zebranych Red. Naczelny, na kieliszek zieleniaka. Przewodniczący spytał więc tylko, który z dyskutantów uznaje się za przekonanego i rezygnuje z zajęcia w sprawie powieści dla chłopów — stanowiska. Podniosły się ręce Stefania Głuszek, Józefa Sabury i Mariana Cieślaka.

zebrał Wiesław Jażdżyński

KONKURS

na ankietę:

„Moja droga do Szkoły Rolniczej i ze szkoły na wieś”

Redakcja „Wies” przedłużyła do dnia 15 czerwca b. r.

Obok wypowiedzi uczniów Szkół Rolniczych prosimy starych działaczy i gospodarzy o wspomnienia o dawnych Szkołach Rolniczych.

Wies

zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym, wpłacając należność na konto:

PKO Łódź VII — 1080,

z naznaczeniem na odrocenie przekazu: „Prenumerata „Wsi”.

Należy czytelnie podać nazwisko i adres zamawiającego.

Należność za prenumeratę wraz z przesyłką wynosi:

miesięcznie 40 zł

kwartalnie 120 zł

półrocznie 240 zł

SPROSTOWANIE:

W ostatnim numerze wkraść się błąd do naszego komunikatu o zmianie adresu redakcji i administracji. Adres ten brzmi: **ŁÓDŹ I — skr. poczt. nr. 97.**

Komunikat

Zawiadamiamy, że z dniem 1 czerwca 1947 r. redakcja i administracja tyg. „Wies” przeprowadziła się do nowego obszernego lokalu przy ul. Piotrkowskiej 133.

Korespondencję prosimy kierować na adres:

ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 133

albo

Łódź I — skr. poczt. 97

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**
Redaguje Komitet
Adres redakcji i administracji: **Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.**
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: **Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.**

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wies”, **Łódź, Piotrkowska 133, II p., telefon 100-98.**

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — **Łódź, ul. Żwirki 2.** D—017705